

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.

Zespół (fond) 4.

Zbiór rękopisów Biblioteki Baworowskich

Dział (opys) 1

1200. Nirwana [hasło konkursowe] Szczęście dla sławy. Dramat w 5 aktach [przesłany na konkurs dramatyczny Wydziału Krajowego we Lwowie].

STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE

ЛЬВІВСЬКА НАУКОВА БІБЛІОТЕКА
ім. В. СТЕФАНИКА НАН УКРАЇНИ
ВІДДІЛ РУКОПИСІВ

| | |
|--------|----------|
| Фонд | 4 (Бав.) |
| Опис | 1 |
| Справа | 1200 |
| Палк. | |

2

IV. D. 25

1.200

2

Szczęście dla stawy.
Dramat w 5 aktach.

Godło Nirwana.



Osoby.

Władysław Burg

Artur, jego syn

D^r Edward Rucki

Stefan Lipski

Gabriel

Józef, jego brat

Henowick

Kapusciniński

Pr. Kramer

Piscki

Pafski

Szurkowski

Przybyliński

Wojcicki

Stanisław

Jadrek

Bronisława, córka Burgo

Wanda

Lofija, żona Gabrielowa

Magdalena, siostra Wandy

Akt I, IV i V dzieje się w Warszawie, akt II, III na wsi.

Między aktami I i II upływa 2 lata.

3
7

Akt Pierwszy.

Scena I^a

Scena przedstawia salon w mieszkaniu Burgo. Wprost drzwi do hotelowego pokoju, na lewo wyjście do drzwi. Przy podniesieniu kurtyny Burg siedzi na fotelu, Przepaliński wchodzi

Burg i Przepaliński

[Przepaliński składa głęboki ukłon, Burg z lekka mu go oddaje - chwila milczenia - obaj mierzą się wzrokiem powzajem jednocześnie zaczynają.]

Burg. Laskawy Panie Przepaliński
Przypal. Szanowny Panie Prezesie { jednocześnie
urzuwaja }
p. k. m. Burg wskaz. mu krzesło, na którem Przyp.

Burg. Tak... hm... co słychać?

Przyp. Ale to jedynie taska szanownego pana prezesa może uchronić mnie od ruiny... Przewożny w szan. filantropiję szan. p. prezesa, którego cnoty. Niebo samo ocenia, sztytając mu szeregście w samą pójście...

Burg. Mój panie Przepaliński, co ja dla pana mogę zrobić?

Przypal. Wszystko!

Burg. Wszystko? No byle nie mogę (p. chw.) Wiem od dawna, że interesa nie pozwalają panu optacie komorne nawet za ubiegłe półrocz, nie mówiąc już o wierzytelności, których pan ma więcej, niż gości w hotelu i szotownikach.

Przypal. Tak, lecz w exentie oni dotyczą naszego interesu...

Burg. Naturalnie, wprost niby nie, ale pośrednio. Tam
wicie głównie o zatrzymanie hotelu i restauracji
w tem samym miejscu, na to trzeba płacić ko-
morne, a pan nie może; jakem powiedział
masz pan wielu wierzycieli, którzy raszkować nie
jesteś w stanie; oboż jednemu z nich pan wry-
sko musisz zapłacić, s. j. mnie...

Przyp. Owszem, bardzom rad. Ale pan wie, że o gotów-
ce u mnie trudno.

Burg. Niektem myślałem; posłuchaj mnie pan uważnie
i miły pan.....

Przyp. (przymuszając się) jak ryba w majonezie.

Burg. Dla uspokojenia mnie pan (ciszej) sprzedaję mi
urządzenie w hotelu i restauracji przyjemną ja zatrzy-
mam pana jako płatnego administratora Co?...

Przyp. Rozumieć (p. chm.) gotowem przystać, ale przecież
wartość mojego zakładu przenosi znacznie cyfrę
Wługu. —

Burg. No, czy ja nie wiem tego? Oboż te nadwyżki
w sumie Rs. 8,000.

Przyp. P. Przes mi wystaci. Stracę moi wierzyciele,
ale co to szkodzi, skoro pan i ja będziemy wglę-
dnie zadowoleni.

Burg. Tak jest, mylisz się pan tylko w jednym
punkcie, nadwyżkę przeniesiemy na kaucję,
i wyproszyczenie^{na} urządzenie hotelu.

Przyp. Hm. Co? Na to się zgodzić nie mogę, wyma-
gam i płacenia i tak obciążonej reszty.

Burg. (wstaje krząc się z gniewem) Pan wymaga... obciążonej
reszty a ja... panu nie dam nic a nie za-
pomnij, że pojutrze licytacja... Dostał to ja.
Daję panu czas! (wychodzi wprost)

Scena 2^a

Przypaliński i Wojciech.

Woj. (ostrożnie wchodzi rozglądając się)

Przyp. (krzyżąc w ślad za Burgiem). U mnie ci się nie uda, stary wyryskiwaaniu!

Woj. (przeustraszony). Co to panie?

Przyp. E nie... wszystko Dobrze, ja. przereś był. Dłis na mnie nie zwykłe taskaw, próbie moją uwzględnił.

Woj. Wiskuje, wiskuje, to ja panie tak zarząditem

Przyp. (wyjmując pugilares.) Domyślitem się tego od razu... proszę Cię, sprytniej więc jeszcze (przeogląda papiery.) Właśnie a to warzenie.....

Woj. (zblizna się) Co to takiego?

Przyp. Wyobraź sobie, iż wczoraj oszukał mnie jeden z gości, płacąc za kolację fałszywym banknotem, akurat ten się dostał tobie.

Woj. Obładał pana! (wyjmuje banknot.)

Przyp. Przepraszam Cię, mój przyjacielu. Daję mi go niech się ja z którym z gości to samo zrobisz (wyrzucając go prawie z ręki Woj.) Spójrz no na te suki wodne chociaż by (chowa pugilares.) banknot jest dobry, ale ja nie mam wyceraju za nie płacić, rozumiesz, sągasie. (wychodzi.) Wojciech porostaje w osłupieniu.

Scena 3a

Wojciech. Starosta pociąg Burgi Arthur

Stanisł. (wpada z tacą do Woj.) Panie Wojciechu do starego... wyjadła ci się bardzo (spoglądając na Wojciecha, wciąż stojącego w osłupieniu) O! a panu co? Czy się co stało tutaj?

Woj. (przechodząc do siebie.) Nie... nie (z przerażeniem) obaj... ja i on (wskaz. Burga) ustaliliśmy wzięci na kawat. (Stanisł. odchodzi; wchodzi Burg Arthur)

Art. (do Burga.) Wiesz ojciec odjeżdżasz (Burg chodzi wzburony po pokroju Woj. ta nim uważnie podstuchując.)

Burg. Muszę koniecznie (do Wojciecha) zaprzęgać. Zaraz wracam, ten Przypaliński... jedź do kantoru... (do Woj.) zaprzęgać (do Artura) żeby naruciły termin do...

Woj. Do powozu czy do karcy?

Burg. (kierując Artura) Do licytacji. / do Wój. / Do powozu / do Art. /
 Sacerkajecie na mnie i tak. Bronka musi się
 pewnie przebrać na spacer, musimy razem
 jechać!... (Do Wój.) Czego jeszcze stoisz?

Wój. Nie wiem w jakie konie pan chce... kare?

Burg. Kare... kare. Na co ty mi siggle te kare zaprzegasz?
 Przecież trzeba ludziom i te siwe pokazać, co w ku-
 pit nie dawno. —

Art. Ależ ojciec, jak zaprzegną tylko siwe, to ludzie
 gotowi są pomyśleć, że już kare sprzedates.

Burg. Prawda (zamyślając się) Co robić?

Art. (ironicznie) Zaprzędz jednego karego, drugiego siwego...

Burg. Miesz, to dobra myśl! Bardzo dobrze, nich
 tak będzie zrobiono jak mijsy... (poprawiając się)
 jakiem ja powiedział. Czekaj no: przyniesi mi
 tutaj jeszcze kawę.

Art. Poprosi p. Edwarda. (wycieczek odchodzi)

Scena 4^a

Burg Edward, Artur Bronistawa

Edward (podchodząc z Bron.) Nie potrzeba prosić.

Burg Coż wy tak...

Art. (ironicznie) Chowacie się po kaptach.

Edward. (Podchodząc do Burga) Myślatarem, że ojciec się
 wzmieni po obiedzie

Bronis. (podchodząc do Art.) Myślatarem, żeś poszedł
 starym szczyt po powrocie z podróży.

Art. Nie... nie, na to jeszcze mam czas a
 zresztą przededniu waszego ślubu wypada
 mi dobrać towarzysza. Trzeba by wy-
 stąpić poważnie, głęboko, choćby trochę...
 co to jest matczyno: co to jest walka, ta
 wojna nie ustająca...

Burg (do Art.) Arturze!

Bronis. Owszem, dobrze mówimy o tem... ja zabie-

ram glos...

Edward. *(Stucham, stucham, wszryocy siadaja)*

Bronis. Acha-jedna ze stron wojujacych stawia warunki pokoju, czekamy, po pierwsze za tem... *(po kr. namyśle)* Muz powinien stuchac strony...

Artur Brawo! Sj Dopioki nie ogtuchnie.

Bronis. Co to ma znacze?

Artur. No to znacze, ze bedzie stuchal, co mowisz, dopoki nie straci sluchu.

Edw. Arturku... daj pokoj!

Art. Karar, karar teraz ja wam dostanec pare slow. *(do Edwarda)* Pamietaj, ze w matkeisswie jest miód, ale jest i piotun, ze tam dwa razy dwa to trzy; ze udekorowany wreszcie w tej godnosci cztowieczej orderem krzyza - xtoz kwiaty na swym grobie wotnos - sci, a zakontraktowawszy artykul, milosciq wstany, dostanecj towaru

Broni / ratykajec uny, dosyc, dosyc.

Burg. Prestan, jeeli po drissi prym obidwie nabratci takiej werny do dysputy, to mow o czem innym

Artur Coe chcecie, 4 lata was nie widziatem musz siq wami nacieszyc i najdaai na zapas, bo niedlugo znoid...

Edward Ynow udajec siq w podroz?

Artur Karar po waszym slubie Jadz do Swecyi albo do... Afryki, to zabiec bedzie do pogody

Edward. Panim siq tam idasz, opowiedz nam cos z Dotyckerasomej podrozy, tyle ciq kosztowala trudu, z Bronia...

Burg. A mnie pienidzy / potymem /

Bronis. (niechętnie.) byle w tej opowieści nie były swoje wieczne kłopoty finansowe...

Artur Bynajmniej, treść będzie bardzo romantyczna, jak wiecie z Trym i po-
jachatem do Wenecji... Co to jest Wene-
cja...

Ed. Bro Wiemy, wiemy.

Burg. (Trymając się za nogę) Wilgóć.

Art Ołóć z Wenecji czynię skok pantery i jes-
tem... w Tatrach.

Burg (poprawia się na krześle.) Jesteśmy w Tatrach.
Art Jestem tedy w Tatrach, otoczony Niemcami,
Słowakami, cyganami, Polakami, ma-
dziarami i żydami, jak to zwykle w
Austrii. Sprzykrytem sobie rękę to in-
tercyjonalne towarzystwo i pewnego dnia
bierze mnie chęć dostania się na drugą
stronę Tat. dla zwiedzenia granicy
węgierskiej, a właściwie dla szu-
kania jakiejś awantury. (Bronis i Edw,
zapęci sobą, prestają go stopniowo w słuchanie.) Opuściam tedy pro-
menadę, parki kurchawy i wybieram
(Burg natopiony w gardle) szlam bez przewodnika.
Po odnalezieniu Drogi Dostaję się na
rozgraniczającą górę, prawda że go nie
słuchają) przechodzę górę... przechodzę,
(uderza ręką w stół) górę, prawda że go...

Bron. Bur (Drganie) Ach!

Artur A to grucznik z waszej strony, nie
można powiedzieć

Bron. Przepraszam, już, już słuchamy...

Edw Proszę.

Art (Do Burg.) Proszę odwrócić głowę

Bur. Ławak, w tej chwili, bo ja tu coś wyryłam...
Hracie Hundstajnow?

Artur Knam

Edw. Ktoś to taki

Artur Widać ich wczoraj w театrze;
panna H. ma 2 wielkie sprasnioty. (pokazuje)
garbi posagu 1/2 miliona

Bron Mimo to jeszcze za mały nie wyszła.

Artur. Nie nie szkodzi, jak podłoiy pod garb swoje
1/2 miliona - to będzie prosta.

Burg. Oho p. A przyjęł poddaństwo belgijskie,
zostawmy za jedną operacyją Caronem, na
czyra się teraz Caronem de Hummel

Artur A niech się ciemną belgijskiej i tranwaje,
a ja wracam do Jalt, ale porak ostatni.
Oho! tedy nawet czasu zeszł, ranim
Dostatem się na drugą stronę góry;
spokoj ciera, wróble tyłko draż się, jak
opetane, ale to nic... Liniemka się,
kiszyc smoci, ja idę napród, choć czas
by pomysłić nie o kotacy i... nagle
Dostaje się w jakiś gancz okropny!
Nie widzę ani nieba, ani ziemi, to puc się
pod górę, to spadam na dół, wredtem tak
more godzin dwie trzy, a kresu mej wypra-
wy nie widzę, naraz słyszę jakies głocy, czy
wycia, mrowie racynają mnie przechodzie
lecz ja - m nabral trochę cywilnej odwagi
w mych peregrynacjach, zreszta noszę zaw-
sze przy sobie dobrze nabity rewolwer.

Burg (w poruszeniu.) Czy i teraz

Artur. Eh nie, wracam, jak mi się zdaje i na-
trafiam na jakies opuszczone zradio, by-
tem spragniony i umiżony strasznie!
Nachylałm się nad wodę, chce pokrępić
sity. (Art. wycina się gęstokulując zbliża się ku drzewom) nagle
Słyszę niedaleko siebie słodką melodję... Wtem

ktoś mnie potrącił lekko. Urywam się
piorunem, spoglądam o parę kroków odem-
nie ruszając, przedze za nią i (wpada na Wojciecha
i jego w trzymna wobjęcia) ona mi śpiewa.

Scena 5 Ciż i Wojciech

Woj.
Artur

Oj!

Czego się płaczesz stary?

Woj.
Edw.

Powór czecha.

Burg

Czy i wręczystości tak było?....

(regnując się) No do widzenia.... na mnie wid-
ki czas za kwadransik jestem z powro-
tem (Bronis. wstaje również)

Edward

A ty, pani, też nas opuszczasz.

Bronis

Nie ciekawam jego uwanturek.

Art

(z przekąsem) Ty nie rozumiesz jeszcze
tego, że ona na spacer musi ubrać
się w swierc gatgaruki.

Scena 6^a Edward i Artur

Artur

(p t m.) Jutro więc będzieś szczęśliwy. Ty
zyskasz żonę, a ja utracę siostrę...

Edw.

Wybacz, mój przyjacielu, jeżeli mimo
woli Cię krzywdzę.

Artur

W mojem marnem życiu utracam
ostatni drogi przedmiot. Teraz już
samotność zupełna!

Edw.

Stoarszaj sam. Mogłbyś przecie nie
roztaczać się z nami, a przedwojskiem
zrobić jedną jeszcze próbę, ożenić się

Artur

Brr... Nigdy! Nie mogę przenieść
się ze swoją własną osobą, nie mogę...
a ja już jedną tytko uwarłam za sobą
siebie samego.

7

Edward Nie żądaj od ludzi za wiele... Sarkazm i mizantropja choćby występowały z jak najracjonalniejszych źródeł żądowolenia Ci nie przysporzą...
Ludzi nienaprowiesz i sam się zagryziesz.....

Artur Nie będę już innym... Ty możesz tak mówić i myśleć inaczej, niż ja, nie dziwię się wcale. Miałeś swą i przykra sakotę życia, ona zacharutowała się duszowo. Ja co innego... W życiu młodszych, za wiele mi daro bez trudu i pracy. Wstąpiwszy na szerszą arenę życia przekonałem się, iż to wszystko mrzonki, a złe jest oczywiście dobrze. Jakże są rezultaty mego życia dotąd? W miłości spotkał mnie zawód, próby obywatelskiej działalności okazały się nieudatnemi; w życiu zawodowym nie wiodło mi się, jak i na polu literackim. Co jest przyczyną tych niepowodzeń? Czy mój temperament, czy pochodzenie, czy brak woli, czy niesprawiedliwość społeczeństwa? trudno mi orzec, choć, że mam jeszcze siły, a czuję się już bezsilnym w walce życiowej... To i dobrze! Wyjadę...

Nie dbam dziś o nie... tylko... słowko jeszcze... powiedz mi, Edwardzie, czy ty uszczęśliwisz moją siostrę, czy ty ją kochasz serdecznie?

Edw Co za pytanie?!

Ar. Nie gniewaj się, widzisz, że patrzę na świat chorobliwie, ona cię kocha nad życie.....

Ty kochasz ją inaczej....

Edw Mój drogi! Powiem Ci krótko... Wprzezwactw mojej pracy myślę ciągle o niej.... Nie stawiam miłości w życiu na pierwszym miejscu, lecz stawiam ją na pierwszym miejscu po tem, co jest celem moim. t. j. po studiach naukowych. - Lecz o to cel.

Na Dopsięcie go poświęcitem bez wahania
Archiej mej energji i pracy, wybratem
na towarzyszkę twą siostrę, gdyż ona
mi będzie podpora, bodicem w chwilach
zwątpienia, ona będzie współniczką moim
Pracownik, bo ona mnie rozumie, jak się
przekonatem... Byłbym poruczył może
moje zadanie, gdyby teraz los nie dał
mi jej...

Artur Dziękuję ci (p. k. m.) Wiem dobrze, że
nie jesteś w stanie pokochać na-
iwnie, jak to czynią tysiące szaleńców
Na swoje credo piszę się tak dalece, że spró-
buję raz jeszcze zostać tutaj dłużej, mo-
że mając Ciebie przy boku, bo w tobie wi-
dzieć wszystko będę mógł odrodzić się. Będę
Cię słuchał, jak dawniej na szkolnej
ławie, te wspomnienia mają w sobie
coś żywego. ^(p. k. m.) Wiesz co wygadajmy się,
jak ongi, z tych planów projektów.....
a było ich wiele u Ciebie... nawet
pamiętam jakiś wynalazek (porucze-
nie Edwarda) wszystkiego wystucham
choćby było nawet fikcją. No, mów, spo-
wiadać się ty wprost, rappersonij o mojej
niewiary i pesymizmie. Zaćnij
od [namyśla się] O powiedz mi jaki był
koniec twego wynalazku.... Moim
ciekaw... Mów.

Edw. (poruszony po chw.) Myślę, że jeszcze nie czas
na zobowiązanie. Co się tyczy wynalazku,
to tyle ci tylko powiem że zajmuję
się nim więcej, niż kiedykolwiek.

Artur ^{subskrybowane} Dziękuję Ci się nie mylisz.

Edw. (odchodząc) Mychodzę, bo widzę, że wracam

Do starej swej piosnki sceptycyzmu.

Artur Czekaj (namysłony). Chciesz wytworzyć sztuczny organizm (jakby do siebie) wyualić coś co by oddychało, roślo, stowem, eoby żyło! Postuchaj no: za ostatniej mojej bytności w Paryżu rozmawiałem z jednym stynnym fizjologiem o ostatnich odkryciach w dziedzinie fizjologii, Profeso-rze rekletem, czy nauka może, wam dać w przyszłości sposób wytworzenia żyjących ustrojów, skoro tak doskonale znacie dziś skład i budowę tychże? —

„Co za oryginalne pytanie, zawolat, „skąd przyszła pami do głowy myśł tak śmiała! — „Lecz proszę odpowiedzieć, nalegam, „Czy jest rzecz taka możliwa do urzeczy-wisnienia. „Nie! odparł, śmiejąc się. „Znajomość budowy w tym razie nie wystarczy! — „Jako! zawolatam, gdy posiadam w reku materiał i wiem, jak go użyć czy mi to nie wystarczy? Gdy mam cegły i wapno i znam się na budownictwie, czy nie mogę postawić domu? Znacie strukturę chociażby komórki ludzkiej, składowe jej części. Daje wam chemija, czy nie można będzie kiedyś wytworzyć sztucznej komórki? Profesor namysłit się i rekleł, „Nie! możliwem to nigdy nie będzie..... komórki nie stworzymy wcale, bo nie wiemy, jak kombinować ze sobą oddzielne jej atomy, bo zresztą i sama teoria atomów jest tylko hipoteza! Ugrupowanie pierwiastków to zapewne jedno, co i dusza... A czyż zrozumie my

Edw. Co będziemy robić: po pierwsze (caturę ja w jedną rękę) po drugie (caturę ja w drugą rękę) i po trzecie Art. (wchodząc między nich) Pocałuj mnie!

Edward Ha co?

Artur He będziesz miał taki ładnego swogra

Edw. (bierąc pod rękę Bron) Hejdźmy do ogrodu.

Art. Nie... nie ja słyszę głos starego (stychać głos Burgo za sceną.)

Scena 8 ma

Cix i Burg

(Edward i Bronistawa stoją razem sobie. Burg podchodzi do Edwarda.

Burg. (za sceną) Proszę pani... bez ceremonji, pro co zdejmować okrycie (wchodząc) jestem, jestem... czy jesteście gotowi (zobaczywszy Edw. Bron, zajętych sobą, mówi do Artura) Widzisz kochają się i z toba co będzie hm. (trząca gł.)

Art. (w zadumie) Co?

Burg. No, to, para.... jutro małżeństwo... hm... co będzie.

Art. Dżicci

Burg. E, niepowi jesteś... e masz tobie! przez Ciebie zapomniatem o naszym gościu, którego nie znamie.

Edw. Któż to taki?

Burg. (wskaz. Bron) Ona się domyśli.

Bron. (z radością) Ach, pewno Wanda, moja koleżanka z pensji zaraz ją wam przedstawię (wytbiega).

Art. (do Burgo) To ten pierwszy pracownik hiszkie-go rodnaju w naszym biurze.

Burg. O to dziewczyzna z bardzo szlachetnej familji jej ojciec to miészajze się) to bardzo bogaty był kiedy.... mój przyjaciel (do wchodzącej Wandy

Ach, pani, zapomniałem pani oddać
ukłon od p Stefana, dziś wyjeżdża
z Birmingham.

Scena 9^a
Cix i Wanda.

Wanda (wychodząc do Burga) Dziękuję panu.

Bron (prowadząc Wandę) Arturze, moja przyjaciół
ka panna Wanda Kamińska, mój brat (przechodzi
do Edwarda) oto narzeczoną!

Wanda (nie mogąc powstrzymać okrzyku) Ach!... to pan!

Edw. (panując nad sobą) Pani!

Art. To panstwo się snacie? (mieszanie.)
(kartyna ^w wolno zapada.)

AKT II

Na wsi u Burgów.

Obszerne widowiska. Ogród sortachetowany. Na prawo wejście do pałacu z werandą; na lewo aleja, zaniedbana, prowadząca do fabryki. Wprost widok na wieś, a opodal na las.

Scena 1^a

Burg i Stefan.

Burg (patnąc na zegarek.) Jędenasta. Za kwadrans więc.....

Stefan. Puszczamy nareszcie naszą fabrykę w ruch.

Burg. Nie, za kwadrans puszczamy w ruch nasze robotniki i gardła. Ha, trudno.... taki to już u nas zwyczaj: bez kieliszka płatu nie zbudujesz, a coś dopiero fabrykę... hm.... tak mówił przynajmniej Artur i obstałował śniadanie z Warszawy! Ale mniejsza o to.... te francury nie mogą mi wyjść z głowy.

Stefan. Niech pan Prezes będzie spokojny... Konkurencyi nam nie zrobią. Oni stanowczo zamiechali już swoich zamiarów. Płac już pono sprzedają.

Burg. To dobre. To bardzo dobre. Nie wiem, lecz od pewnego czasu czuję, że się staruję... jakiś niepokój mnie ogarnia, utracam wiarę w moje pomysły..... coś chce, głowa nie z isłaza; wyczerpuje się, tępieje... Łatwiej, to jak dom, buduje się od fundamentów, a burzy od dachu.... i mój dach (wskazuje na głowę) sypie się w gruzy.

Stefan. Pan prezes niepotrzebnie sobie i mnie trwoży. Ja przecież jestem inicjATOREM tej fabryki

i dowiodłem, zdaje się, że nie jestem nie-
szczęśliwym inicjATOREM.

Burg. O nie, nie. Wiem, coś wart. Pierwszy się na
tobie poznałem. Nie myśl, że bym cię tak za
nie promował naprzed i słuchał, jak teraz.
Nie zapomnij, że jestem dorobkiewiczem, że
jestem egoistą.

Stefan. Nigdy! To nieprawda!

Burg. Jestem nim, jestem i to nawet większym,
niż sądzisz. W ostatnich zaś czasach (mówi,
zmierzając głosem) ta chęć zysku rasnie i, nie dziw, bo
na starość wady potęgują się. Och! gdybym
miał syna, jak zięcia..... lub ty... może byłbym
innym.... Wyżekł bym się wszystkiego.... został-
bym sobie baronem, obywatelom, wielce szano-
wanym, pierwszą figurą w mieście bez brzyd-
kich epitetów, jak dziś.

Stefan. Panie..... nie oszczerniaj się! Nie podnosz słabostek
do wad, jakie ci tylko zazdrośni przypisać mogą.

Burg. Daj pokój, ty nie ^{wiem} wszystkiego.

Stefan. A i syn pański posiada wykształcenie i serce.
Nie można go przecie uwarzać za straconego.

Burg. Nie mów mi lepiej o nim - raczej wolę o tobie
pogadać. Jak dotąd jesteś bez żony, jesteś aż
nadto czystym, to jedno mam ci do zarzucenia....
O, nie śmieję się, to zarzut poważny.... dziś.....
dziś..... Myśl więcej o sobie i zawsze o sobie.
A nade wszystko powiedz mi, czy upatrzyłeś już
sobie jaką bogatą pannę.

Stefan. Nie.

Burg. No - to biedna. (zabiera się do wyjścia) Zawsze się
ożeń..... Gdy tej operacji szczęśliwie dokonasz,
będiesz zupełnym człowiekiem; zresztą, jak to
wygląda: dyrektor fabryki bez żony.... podczas
dzisiejszego śniadania znajdiesz dosyć odpo-

11
wiedniego materiału teraz (patry na zegarek) idę na przyjęcie naszych gości, których już słyszę, a ty masz jeszcze dziś dosyć czasu uczynić spowiedź swojego serca, bo jutro naprawdę fabrykę w ruch puszczamy bez Kieliszka pamiętaj (wychodzi do palacu.)

Stepan. (p. c. sam.) Uczynić spowiedź swojego serca! Czy w rzeczy samej nie zanadto się z nią spieszę? Skąd ta wiara w jej wrajemność; skąd pewność, iż odepchniętym nie będę Dwa lata upływa od owych czasów, tak błogo i miło spędzanych razem; czym nie wziął tylko wtedy prostej, niewinnej zgorzłości za miłość? Czy nie czeka mnie rozczarowanie?

Rozczarowanie! Wciąż słyszę te słowa: nie ufaj, nie wierz, nie stwierdzaj swego serca, bo cię osmieszają, wyryskają, skradną! Lecz ja nie przekonatem się o tem: nie mogę, niemał prawa tak mówić Chcę wierzyć ludziom, jednakże zdaje mi się, że on mówi prawdę, z drugiej strony nie wszystko, co prawdziwe, jest moralnem I oto stoję na rozdrożu, czuję, iż ten prąd i mnie porzywa i inną drogę życia wskazuje, niż tę, po której stapać myślałem, iż dyktuje mi inny sposób obchodzenia się z ludźmi, niż ten, do którego przywykłem! Lecz to przywidzenie, to chwilowy podszept słych namiętności Miałabym zostać nie zrozumiany? Kando, ty utrzymasz mnie na drodze szlachetniejszego pojmowania zadań życiowych ty mnie ocalisz od przepaści, w którą stoczyć się jest tak łatwo a jednak (zamysła się; zdawała widzieć zbliżającą

istoty nauczyłeś się kochać i odczuwać i nie
spędzites życia na darmo! Lecz by ten cel
wzniosły osiągnąć, potrzeba mi twój miłości....
Czy mam ją? Czy pozyskać ją mogę? O, pani,
odpowiedz!

Wanda. (*zwrócona*) Powstań pan!.... W tej chwili!...
Później! (*stychać kroki*) Ktoś idzie! (*wybiega*)

Scena 3^{ia}

Gabkiewicz, Zofja, Józef, Stefan, Jędrak i chłopcy

Wojciech. (*za sceną*) Gdzie pan idzie? Tam droga
do obory.... tedy proszę.... tutaj!

Gabkiewicz. (*ubrany po prowincjonalnemu*) Ooo... pan dyrektor,
*za Gabkiewiczem wchodzi Zofja z Józefem, po chwili Jędrak,
niosąc pudło ze skrzypcami; które Józef wyjmuje*) Witam,
winszuję Kochanemu panu! Winszujemy
rarem z żoną i ^{bratem} synem! (*porywa Stefana w objęcia*)

Stefan. Serdeczne dzięki! Witam państwa.

Gabkiewicz. (*przedstawiając Józefa*) Mój braciszek młodszy
(do Józefa) Patrz, smarkarzu, w twoim prawie
wieku, a jest już dyrektorem fabryki, a ty
jesteś cmem, kasztanic?

Józef. I ja jestem dyrektorem.

Gabkiewicz. Czego?

Józef. (*przebiega smyczkiem po skrzypcach*) Fiat! Orkiestry...

Zofja. (*do Stefana*) Józef zatorzył orkiestrę włościańską.

Józef. Ale proszę o dyskrecyję.... bo to niespodzianka
dla pana prezesa.

Stefan. Pięknie.... bardzo pięknie.

Gabkiewicz. Co tam! Z chana cztowicka nie robi....
A choćby i zrobił, choćby został najsta-
wniejszym katarzynianem na całym
świecie, to i cóż stąd? Pana dyrektorstwo....
rzecz inna!... Ho, ho, z tego, panie, są grosze...
a z chłopskiego grania Józiek jeszcze feniga

nie zarobit. ' Po tam, daj gęby! Moja żosiu, my z p. dyrektorem za pan brat, toć bytem starszym subjektem w sklepie jego ojca (Kłoniąc Stefana po plecach.) Kochany dyrektor!

Stefan. Ależ, p. Gąbkiewicz, przecież nie wszystko jeszcze starowi pieniąż.

Gąbkiewicz. Wszystko, wszystko, p. dyrektorze! Kto goły, ten głupi. Ot i ja, nieprzymierzając, jestem dziś w potrzebie i dla tego ciemny, jak tabaka w rogu!

Stefan. Tęgo bym nie powiedział, ależ rozgoscie się państwo. (: do Wojciecha.) Łabierz pakunki. Państwo racza przejść do potacu.

Gąbkiewicz. Zaraz, zaraz kochanie. Wprzódy interes. (: do Wojciecha.) Nie ruszaj, diabie, tych rzeczy, bo może tu nie poświęcę dług.

Stefan. A to dla czego?

Żofja. Meiu, zapominasz się.

Gąbkiewicz. E..... co to obwijać w bibułę. Uważasz, dyrektor, ja tu przyjechałem nie na romanse. Primo: doktor nie dotrzymuje słowa, niech go donder swisnie!

Żofja. Feliksie!

Gąbkiewicz. Przepraszam cię, kochanie. Ale trzeba wiedzieć, jak rzeczy stoją. Otóż doktor powiedział: drugą połowę posagu dostaniesz pan, jak się ożenie; tymczasem czekam.... nic! Nacieram, a on ze mną nie chce gadać! Ale jeżeli dziś moresu go nie nauczę, reszty posagu nie odbiorę, to jakem Gąbkiewicz syn Bonawentury....

Żofja. (: do Stefana.) Widzisz pan, jaki to awanturnik, despota!

Stefan. Uspokój się pan. Pański szwagier spodziewał się pana lada dzień.

Gabkiewicz. Spodziewał się, a to pięknie z jego strony.
Ale czy spodziewał się, że ja mu huknę: dawaj
doktor pieniądze!

Zofja. Nie bluźnij! Bądź cicho, o Boże!

Gabkiewicz. Zaraz, zaraz, Kochanie..... Niech cię donder...
o, przepraszam. Secundo: brat mi wosnie,
chłopacko, jak na drozdach, strzela baki...
bawi się w jakiejś muzyki.... co wszystko razem
wzięte funta kłaków nie warte. Myślę sobie,
skoczę ja do kochanego dyrektora dobrodzieja
(chwytając go w objęcia i smokając głośno!), umirgnę
się, to może i wytrąsanie jakąś posadzinę dla
tego gatlana przy swojej fabryce..... a za jedną
drogą nabiorę swagra na grosze.... he! he! he!
Kochany dyrektor!

Stefan. Możesz pan być pewny, że zrobię, co mogę i
jeżeli brat pański ma tylko jakikolwiek
kwalifikacje.....

Gabkiewicz. Ma..... ma, łaskawo dobrodzieju. Do handlu,
do przemysłu aż się trzęsie..... No, gadaj, Józku,
trzęsiesz się?

Józef. W istocie! W drodze z diabłem, a do śniadania,
widzę - jeszcze potrwa.

Gabkiewicz. (zanosząc się od śmiechu) He! he! he! A to wrwis!...
No, powiedz że dyrektor, czy nie stworzony do
przemysłu?

Stefan. Zapewne, zapewne..... Ale nie stójcieś,
państwo, tutaj! (: do Gabkiewicza:) Pozwól pan
do mnie, lub do swagra.

Gabkiewicz. Zaraz, zaraz, Kochanie..... Tylko, widzisz,
dobrodzieju, ten posag..... Zresztą, nie bądź
pan przedki; ja w rezultacie gotów jestem
zatrzymać się jakiś czas. Prekalem cetero
lata..... poczekam.

Zofja (: z radością:) Zatrzymasz się jeszcze, to dobrze.

Jak długo?

Gabkiewicz. No tak, z półgodziny.

Łojza. Hipokryta!

Stefan. Idę do p. doktora sam i uprzedzę go. Zaraz w krótkości obmówię całą kwestyję.

Gabkiewicz. Dobrze, taskawco dobrodzieju.

Stefan. Państwo zaś pozwolą do pałacu.

Gabkiewicz. Nicch i tak będzie! (do Józefa.) A ty, basatyku, zostajesz?

Józef. Ja mam tu interes z orkiestrą. Chwilę zabawię.

Stefan. Latem, nie przeszkadzamy (wychodzą pierw Wojciecha i chłopów)

Józef. (do orkiestry:) Słuchać, kotota, uwarić!

Chłopi. Uwariamy

Józef. Jak dam znak, to grać! A nie tchórzyc mi! Nie dać z początku za ostro, instrumentów z tap nie wypuszcząć! Przewszystkiem zaś zwracać bez ustanku swoje cięlece oczy na mnie.... Nie wyprzedzać taktu moich skrypiec.... To wszystko! A teraz (oglądając się:) cóż to, gdzie Kawrsek?

Jedrek. A dyć u niego dzisiaj wielga radość.... Jesce go niema, bo je u swojoka z tej wsi....

Józef. To cóż, u dyjabła?

Jedrek. Dyć tamtemu przybyło....

Józef. Bydłę!

Jedrek. Nie, chłopok.... i dla tegośma chciałic tyz prosić Wielmożnego pana, by to z tem trąbieniem trochę przyspieszyć, bo i na kćiny....

Józef. Licho, faryzeusze, bo wam tby o ten bęben rozwałę! I mecz ze się tu z takim stadem od pół roku, a tu mu się w tak uroczystej chwili chrzciny chce wyprawiać! (z rozpaczą.) Co ja zrobię bez pierw-

się Wanda, która podchodzi do Stefana, trzymając książkę w ręku!)

Scena 2^a
Stefan i Wanda.

Wanda. Dzień dobry panu, p. Dyrektore!

Stefan. Ach! Pani tu.... Dzień dobry!

Wanda. W dniu swego triumfu przyjmij pan, p. Dyrektore, serdeczne życzenia od skromnej pracownicy.

Stefan. Dziękuję pani najuprzejmiej za życzenia, lecz opuść pani na przyszłość ten tytuł dyrektora fabryki, która jeszcze przez minutę nie funkcjonowała; zakrawa to na ironię, przynajmniej tak mi się zdaje.

Wanda. Nie śmiałybym uciekać się do ironii, przy panu, zaręczam. (rozglądając się dookoła.) Mój Boże! I pomyśleć, że wszystkie te kwiaty, klomby, drzewa znikną, nieprawdaż?... I ten domek, pałacyk - wszystko to pójdzie na pastwę dla tego smoka, dla pańskiej fabryki, jak gdyby niedość było panu parku.

Stefan. Tak jest, niestety, na miejscu tej cienistej poetycznej altany stać będzie prozaiiczny skład desek, a ten pałacyk zamieni się w dom robotników, może w szkołę, a może szpital.....

Wanda. Szpital! Brr!... (p.c.) Jeden dzień spędziłam tutaj i, wierz pan, p. Stefanie, polubiłam to miejsce. Żal mi go będzie jutro opuścić.

Stefan. Tym może większy, że i pani niegdyś przebywała w pałacach wśród kwiecia i zieleni, a dziś wieczory przepędzasz za kantorem między książkami.

Wanda. Trudno! Rzeczywistość jest nieubłagana.

Stefan. O, nie to chciałem powiedzieć!... Wybaw,

pani, jeżeli dotknątem pomimo woli
bolesnych wspomnień. Chciałem tylko
wyrazić moją życzliwość ku tobie, p. Wando,
i szczerę, głębokie współczucie (ścisła jej za rękę!),
że cierpisz nie za swoje winy.

Wanda.

(z wzruszonym głosem.) Dziękuję panu. Wierzę
w pańską życzliwość, tak jak pan powinie-
nieś wierzyć w moją, nieprawdaż? Lecz po-
rzucimy ten przykry temat.... O, lepiej
podaj mi, pan ramię i zaprowadź do
przyszłego domu robotników, gdzie się
dziś po raz ostatni ustatuje.

Stefan.

(podaje jej rękę.) O, pani, wyrazy te napalnia-
ją mi serce stuchają.... podajesz mi rękę, którą
pragnąłbym jak najdłużej w dłoni swej
utrzymać. Odrzyskuję odwagę, którą straciłem
zupełnie, gdy cię tu ujrzałem. Tanno Wando!
Ja chcę.... ja pragnę.... Ja muszę. Dziś po-
wiedzieć ci to (cisnąc jej rękę do ust.) com chciał
ci powiedzieć już od dwóch lat, com chciał
ci powiedzieć po pierwszym naszym widzeniu
się.... ja....

Wanda.

Boże!

Stefan.

(~~prawy na kolana~~) Ja Kocham cię!

Wanda.

Panie..... (usiłuje wyrwać rękę.)

Stefan.

Czy tylko nie tłomaczysz sobie źle znaczenia
moich słów? Nie znieważać, lecz szczęśliwą
chcę cię uczynić.... Bądź moja! Złóż los
twój z moim, a stworzysz mi z życia raj
ziemski! Gdy posiadę cię, znajdę wtedy
powab w swoim bytowaniu, śmielej i
spokojniej w przyszłość spojrzę, a kiedy
przy schyłku dni uczynię obrachunek
z przeszłością, s..... wtedy napewno będę
mógł powiedzieć: szczęśliwy miłością raczej

szej trąby!

Jedrek. Toć jo jerdem jebce.

Józef. Głupis! Ale nie ma co! Pamiętajcie dać za dwóch, kiedy Kawrka nie ma. Będzie jako fonja, jak Moniuszke, powariam! No, marsz tam do altany, a nie katasować... Żeby was nikt przed muzyką nie widział! Jak wam dam znak chustką; to zacznąć... (: sychać za sceną, kroyki: wiwat! niech żyje! :) Czas i na mnie! (: do Wojciecha.) Boję się, by w salonie nie zauważyli mojej nieobecności.

Wojciech. Hii... Taka bagatela!

Józef. Zapewne. Spodziewam się, że ta muzyka, sprawię p. prezesowi przyjemność, dla mnie zaś będzie ona niejako rekomendacją do starania się o miejsce, godne moich zdolności, w świeżo założonej przez p. Burga fabryce.

Wojciech. Aha!

Józef. Ten polonez, na cześć p. prezesa, skomponowany przezemnie jest pewnym środkiem, bo, widzisz, teraz ludzkość powołuje sztukę do celów praktycznych! Ale ty tego nie rozumiesz!

Wojciech. Ho! ho! I bardzo rozumiem. Pan chce sobie wygrać posiadę.

Józef. Oj! to właśnie (: do chłopów:) Każdy na swoje miejsce! (: chłopi kupią się!) Idźmy! (: wychodzi z Wojciechem.) Idźmy! (: sychać kroyki: wiwat! wiwat!)

Jedrek. Oj! jak się cieszą! Wilgoci tam widać sity, wiency niż na Matusowych kściinach.

Chłop I. Miły Jeru! Jak tam dobrze! Siedzą se na stolkach, miękkich niby masło, a podłoga tam taka stierga, jak marcowe błoto!

Scena 4^a

Pix i Kawrsek.

Wawrzek (*wpadając*) Hej, chłopczy! Matus już wrócił z kościoła i prosi całym kompaniję do karczmy... Chodzi ta na moment!

Chłop. I. Dobrze gada! Chodź ma! Duchem wrócim.

Chłopi. (*zawem*) Chodź ma! (*wychodzą; wstrzymuje ich Jędrzek*)

Jędrzek. Długo z graniem spóźniewa się!

Wawrzek. Nie monarchuj! Będzie czas na wszystko! Uciekajta! (*patrzac ku pałacowi*) Pan konsul wali tu z żoną! (*wszyscy wychodzą*)

Scena 5^a

Edward i Bronistawa.

Edward. Droga moja, to niemożliwe! Poswięciłem tyle pracy memu wynalazkowi, że obecność moja na odkrycie p. Kramera, mojego protektora, jest nieodzowną; ta rzecz zmieniona być nie może.

Bronistawa. Nie może! Więc u ciebie więcej znaczą ci niedni panowie, niż ja, niż przyjemność porozostania z kochającą cię żoną!... Nie Dobry jesteś, niewdzięczny! Czym mogła się tego spodziewać?

Edward. Nie rozumiem wcale zarzutów niewdzięczności; niedobrym też nie jestem, skoro, o ile możliwości, stosuję się do twoich zachceń.

Bronistawa. Dla cregózi więc nie chcesz zostać się na zabawie kwiatowej we Czwartek? (*Edward wrusza ramionami*) Udadając słabość, mozesz tamto odłożyć.

Edward. Nie mogę, moja droga.

Bronistawa. (*z kokieteryją*) Lecz jednak, gdy ci coś powiem... coś... (*zannuajac mu rękę na szyję*) ręczę, że nie odmówisz mi niczego?

Edward. (*siłac się na uśmiech*) Cóż więc?

Bronistawa. To, co ci powiem, skłoni cię od razu Do

porzucenia ksiąg, wynalazków i zebrań.... Będiesz
nawet sam rej wodził na naszej zabawie.

Edward. Lecz co? Wybacz, nie wierzę. (zmienionym gł.) Dla
mnie w życiu nie ma niespodzianek, nie ma
rzeczy, które by mogły pokrzyżować moje plany.
Że nie będę tu we czwartek, gotowem przy....

Bronistawa. Nie przysięgaj.... powiem ci coś, ale po cichu!
(po kr. m.) Nie... lepiej do ucha! (szepocze.)

Edward. (z udaną radością.) O, moja najdroższa! (ratuje ją w rękę.)

Bronistawa. (z kokieteryją.) Tak... w rękę... tylko w rękę!
Niewdzięczny!

Edward. I w burzę! (ratuje ją.)

Bronistawa. Mój jedyny!... A teraz cóż?

Edward. Zobaczymy.

Bronistawa. Ja cię zawsze Kocham!... (słychać oklaski i brawo.)
Oczy styszysz, goście tu idą!...

Scena 5^a

Cix, Burg, Aler, Stefan, Józef, Wszyscy. Gabarewick, Kapusciński; Wanda, Goście?

(wszyscy, wchodząc z kieliszkami w rękę, ustawiają się
w szeregu. Przy spotkaniu z Burgiem kryczą.) Witaj!

Kapusciński. (Moeno podchmielony wchodzi na lawkę i wnosi do
góry kieliszek.) Za pozwoleniem! Obywatelstwo
ma pierwszy głos! Panowie i panie! Nie...
panie i panowie! Jakem rzekł wyżej,
tylko prawdziwa cnota wznanie sobie
zdobywa, tylko rzeczywiste zasługi po-
trafiają wywołać entuzjazm.... Stara to
prawda i święta to prawda! Ludzie o niej
często zapominają!... Tak, zapominają....
Ale w końcu przypominają sobie! Cześć
dla charakteru choć późno, choć nie
razo, zawsze nastąpić musi.... o.... musi!
(wracając się do Burga.) Oto wśród nas, panowie
bracia, stoi cztowiek sławny, wielki, tak

wielki, że ginie przy nim Herkules, ginie
Teusz, Samson, Holofernes....

Edward. (podpowiadając:) Judasz....

Kapusiński. Jud.... (miarkując się!) Judyta! Już zabrakło
mi bohaterów, godnych stanąć w tobie
(poprawiając się!) z tobą w jednym rzędzie!
Tak samo musiałoby zabraknąć i wina,
gdybyśmy dostateczną ilość razy chcieli
kryżać: niech żyje!

Wszyscy. Niech żyje! (Bury klania się. Józef zaciekle
macha chustką.)

Artur. (do Józefa:) Panie, co pan robisz?

Józef. Orkiestra! Gdzie moja orkiestra? (wybiega.)

Artur. (do Edwarda:) Czy Kapusińskiemu wieś na
subkastyją wystawili?

Edward. Tak. Podobno w przyszłym tygodniu termin.

Kapusiński. (zamynając:) Pa... pa.... panowie....

Artur. (do Bronistawy:) Powstrzymaj no, Brona, tego
smoka od dalszych słów! Niech lepiej
wraca do Kieliszka.

Bronistawa. O Kapusiński! Odbieram panu głos
i berto na chwilę.

Kapusiński. Składam je u nóg twoich, wznijająca
ksiółwo! Niech nam żyją! Niech żyją
racni gospodarstwo!

Wszyscy. Niech żyją! (trącając się kieliszkami.
Sturba wznosi wino.)

Józef. (wpadając zdyszany, do Artura półgł.) Panie,
ratuj pan!

Artur. Cóż się stało?

Józef. Moja orkiestra! Moi artyści! Lecz
wszyscy bez zmysłów.... pijani.... w
karczmie!

Artur. Oj! Posadę dyjabli wzięli.

Józef. Panie! Co zrobić?... Wszyscy wiedzą o moim

polonerie!... Kompromitacyja mnie czeka!

Artur. Jest karcama, więc są i żydzi, a nie ma takiej rzeczy, której by się oni nie podjęli.

Józef. Fanfara przepadła! Polonez bez trąb to skandal!

Artur. Trudno... spierz się pan.

Józef. Lecz! (wybiegając) Królestwo za jedną trąbę!

Kapusiński. Panowie! Nie ratujmy gardła!... Wiwat!

Wszyscy. Wiwat!

Burg. Dziękuję panom, Dziękuję!

Gabkiewicz. (^{biorąc Edwarda} ~~z ręką~~ Edwarda) Kochany szwagierku!

Edward. Dajcie mi pan pokój... Teraz nie pora do interesów.

Gabkiewicz. (^{z niskim ukłonem}) Kochany, szanowny, wielki, stawny panie doktorze! Już wielka pora..... Powiem krótko: proszę... bo..... bo.....

Edward. (^{groźnie}) Bo co?!

Gabkiewicz. Bo odeślę siostrzyckę szanownemu doktorowi, a następnie..... proszę pamiętać, że u mnie język stugi!

Edward. Miler pan!

Gabkiewicz. Ale owszem.... Dawaj tylko pieniądze.

Edward. (^{n. s.}) Bydło! (^{z g.}) P. Stefan zatałwi rzecz wiadomą..... zatałwi nawet zaraz..... Ale odtąd nie będziemy chyba mieli o wem do mówienia.

Gabkiewicz. (^{z niskim ukłonem}) Verbum! (^{n. s.}) Dawaj gotówkę, a zresztą niech cię donder swisnie! (^{Edward uika w tłumie}) Poszedł, trafitem w setno!

Kapusiński. Panowie! Niech nam żyją! Kochajmy się!

Wszyscy. Kochajmy się! (^{Kapusiński ratuje się z Burg.})

Józef. (^{wpadając}) Panie!

Artur. Cóż żydzi?

Józef. Są.... ale umieją grać tylko marura i majufes.

Artur. Kazi pan grać marura! (^{Józef wybiega})

Burg. (^{wyrywając się z objęć Kapusińskiego}) Dziękuję,

serdecznie Dziękuję!

Artur.

(. do Stefana.) A teraz pojedziemy podziwiać twoje dzieło, dyrektorze (goście grupują się.)

Burg.

(. n. s. do Artura.) Ty, nicponiu! Coś ty porobił! (wskazuje na Kapuścińskiego i innych.) Popites' ich....

Mnie samemu głowa się kręci.

Artur.

Hm.... co? gorąco, nieprawda? Nic nie szkodzi... Najwyżej ojciec zobaczy dwie fabryki zamiast jednej.

Burg.

Hultaju!

Wanda.

(. do Burga.) Wespriyj się pan na mojem watterm rarnieniu (Burg bierze ją pod rękę.)

Kapuściński.

Panowie! Naprzód!....

Józef.

Naprzód! (mała chustka. Muryka zaczyna grać marura.)

Goście.

Niech żyje! (wychodzą w stronę fabryki.)

Stefan.

(. do Gabkiewicza.) Za pozwoleniem... chwileczkę.

Gabkiewicz.

Hm..... P. Dyrektor! Słucham.

Stefan.

Zanim pan pojedziesz z innymi, rucz przyjęcie tej bagatele (wężra mu pakiet.)

Gabkiewicz.

Co to? (stwierzając pakiet.) Święty Antoni! zmituj się nad nami! Walory, posag, jak Boga kocham, posag! Jakże mam ci, kochany dyrektorze, dziękować? Najlepszy z dyrektorów, największy dyplomato z ministrów! Co mi niespodzianka! A to mi potów!

Stefan.

Widzę, że żądateś pan pieniędzy, z naglony rzeczowista, potrzeba.

Gabkiewicz.

Tak jest, w istocie. Sześć tysięcy rubli długu i taki rywal, jak Händel..... to, panie, może ołtowicka do zółtacki doprowadzić.... (p. c.) Tak mu się dobrze wiedzie, temu Händlowi... szelma! Wystaw pan sobie, w resztym tygodniu powiesił mu się brat! A to się szczęści Kundlowi!

Stefan. A cóż to za szczęście!

Gabkiewicz. Przekaj pan, ten brat był kompletnym idyjotą i zostawił mu 20000 talarów w gotówce
(z westchnieniem:) i ja bym chciał mieć takiego brata!

Stefan. Panie Gabkiewicz! Któż tak mówi: a miłość bliźniego, sumienie, religija.....

Gabkiewicz. Niech ich donder swinie! A cóż pan myślisz, że jestem z tego wyrzuty? Ale, biorąc rzeczy logicznie, cóż lepiej, żeby taki idyjota żył i tracił majątek, trując swem marnotrawstwem siebie i bliżkich mu; czy też, żeby, skróciwszy swój niedrny żywot, zostawił pieniądze na utrzymanie mądrzejszych głów od siebie. Co to ma zresztą do miłości bliźniego lub sumienia? Gdy widzę rzeczywiście biedaka, dam mu parę groszy, a jakie..... Nie rabijam, nie kradnę, nie spotwarzam..... mam więc religiję, a czy dla tego, że nie szafuję uczuciami i łzami, to już mam być bez sumienia? Przy tém wszystkim nie narzucam swego poglądu nikomu; owszem, gdy mi trzeba, ulegam większości, choćby ta była niezbyt mądra, bo głupich więcej jest, niż mądrych. Na przykład w naszym miasteczku ile bardzo uważają bezbożników: ja też idę sobie do kościoła w każdą niedzielę z księżką pod jedną i z żoną pod drugą pachą..... Ojcowie miasta widzą mnie, a dla mnie nie wielka fatyga, że się tam pomodłę z pół godziny..... Nie szkodzi mi, a pomaga.

Stefan. Do interesu; dla niego bez wachania poświęcasz pan swoje zasady..... (z pogardą:) To więcej, niż stulalerość!

Gabkiewicz. (lekko zmieszany, a następnie z gniewem) Moje..... przeko-

18
nania..... sturialorość..... niech cię don..... Pan
mnie nie rozumie!..... Kiedy właśnie..... interes-
to moja idea!

Stefan. (:oburzony:) Interes - to idea?

Gabkiewicz. Pan mnie znów nie pojął..... ja się źle wy-
razilem (: idzie szybko za odchodzącym Stefanem.) Gotów
mi u Burga renome popsuć! (: wotając :)
Kochany panie! Niech cię donder swisnie!
(: odchodzi na lewo; spotykając wchodzących Wandę i Artura.)
Państwo już obejrzeliście fabrykę? Ja też
idę obejrzeć, bom ciekaw. (: chętnie :) Nietrzeba
przeszkadzać! (: wychodzi.)

Scena 7^a

Artur i Wanda.

Artur. (: wprowadza Wandę bladą - prowadzi do ławki na której ona
siada.) Spocznij pani tu

Wanda. Dziękuję panu jestem waruszona nad wyraz...
Czy ten nieszczerśliwy zostanie kaleką? Kto
to był?

Artur. Nic nic.... to był robotnik; nachylił się
zbyttnio nad kotłem i gdyby go nie po-
wstrzymano....

Wanda. Więc go wyratowano.... Bóże! Dzięki ci!
(: opiera głowę na ławce.)

Artur. (: oglądając się niespokojnie.) A jakże.... Niechże
się pani uspokoi.... taka pani blada....
przerażona jeszcze..... gotowa się pani nam
rozchorować.... w taką wroczyłość (: spotykając
wchodzącego Edwarda.) O doktor, przynajmniej
raz przychodzi, gdy go wywołają.... Edwardzie
twoja pomoc jest potrzebna, panna Wanda
tak się przestraszyła tą drobnostką (: po-
idzie do Edwarda.) Nie wiesz co się tam
dalej stało?

Scena 8^a

Liz i Edward.

Edward. Nie wiem, nie bytem...

Artur. Zostań tu chwilkę, ja idę tylko zobaczyć...

(wychodzi.)

Edward. Dobrze. (bierze za rękę Wandy.) Żebyt wrażliwa jesteś pani

Wanda. (która była w odretwieniu.) Ach to pan (szuka oczami Artura.)

Edward. Artur polecił mi nie opuszczać pani; jesteś stałą... jako lekarz....

Wanda. Dziękuję; teraz nie mi nie jest....

Edward. Nie.... zupełnie? czy naprawdę (p.c.) Pani! Wando pierwszy to raz dopiero od lat osteresk jesteśmy znów razem.... sami....

Wanda. I co?

Edward. Co? Pragnę skorzystać z tej chwili i zdobyć to, co było dla mnie rozkosznym marzeniem przez te lat ostery, (przyiska jej rękę do swoich ust.)

Wanda. Panie.... oddał się.... ja nie mogę cię słuchać! (wyrywa rękę.)

Edward. Teraz nie możesz! (z udaną goryczą.) A dawniej jednak tak chętnie mnie słuchałaś.... (siada przy niej.)

Wanda. Odejdź pan proszę.... zostaw mnie samą... nie gub mnie.....

Edward. (prysnuwając się bliżej.) Wando, pomówmy choć raz jak niegdys. Chwila ta może jest jedyną i ostatnią dla nas, po co między nami ta przesada i nieszczerłość? Chcesz.... odejść (po chwili wahania.) Odszedłbym (z siłą.) gdybym cię nie kochał na prawdę (siada znów przy niej.)

Wanda. (wstając.) Panie doktorze, czy słowa te nie są dla mnie zniewagą? Ach!... Nie wymagam

miłości, gdyż tej dris' dać mi już nie możesz.
 Lecz do szacunku mam jeszcze prawo i dla tego
 błagam cię..... oddał się..... pan masz
 żonę..... (~~Edward catuje ją!~~) Ja jej powiem.....

Edward. Nie powiesz, bo ty mnie kochasz.... kochasz może
 więcej, niż dawniej.....

Wanda. Nie Kocham.

Edward. Nie mówisz prawdy. (p. c. nachylając się ku niej.)
 My, możemy jeszcze być szczęśliwi bo i cóż.....
 niedyż nami przeciw nic nie było, jesteś
 czysta..... uszanowałem cię choi była chwila,
 gdy odemnie zależało.....

Wanda. (w poruczeniu.) Okropności! Za cote zniewagi!

Edward. (mawiając) Pamiętaj wieczór w ogrodzie, czy przypomi-
 nasz sobie nasze marzenia, nasze plany!
 Ach! więc bezgraniczna ufność, miłość -
 więc to wszystko tylko myt, plotka bajka!
 Ha, może to i lepiej, kiej mi..... dotychczas
 byłem pewien, że cię okłamywałem; lecz
 skoro rzeczy mają się inaczej, ~~byłem~~
 nie mamy zatem sobie nic do wyrzucenia.
 Byliśmy biedni, miałem co prawda fach,
 który mi grosza nie przynosił, a do tego
 nieukończony wynalazek i Ciebie.... i miłość
 twoją, jak fałszywie sądziłem. Dris'
 jestem bogatym, stawnym, garoty rozno-
 szą już po za granice kraju moje nazwisko,
 nic mi więcej do szczęścia nie brakuje, nic
 prócz jednego - prócz Ciebie.

Wanda. Edwardzie, ty..... ty mówisz tak..... bos' jest
 pewien władzy nademną! (wygwizawszy swe ręce.)
 Boże! Wlituj się nad staba, istota..... O Boże!
 mój Boże! (płacz.)

Edward. Chwilkę jedna; pożegnaj się choć ze mną
 powiedz do widzenia (wchodzi Artur zatrzymuje się)

i ukrywa się za drzewem.) powiedz to, bóstwo moje!

Wanda. Do widzenia.... dla czego pan już odchodziś?

Edward. (z wybuchem.) Kochasz mnie..... prawda....., wiem to.... widzę to, szalony! Czyżem zresztą mógł choć chwilę wątpić? odrzucitas tyłu gópców starających się o ciebie, unikasz Stefana, nie.... to serce dla mnie tylko bije, ty moja, i tylko moja zostaniesz.....

Wanda. Nie będę nią! Puść mnie, pan! (wrywa mu się z ręką i wybiega.)

Edward. (sam.) A jednak opiera się! (p. c.) Tak, dziś widzę, że dricła nas tylko..... skrupuły.

Scena 9^a

Edward i Stefan.

Stefan. (wchodząc.) Pan nie z nami?

Edward. (oknąwszy się.) A.... to pan! Czyż tu wyzyskujesz pan robotników, lub też, co pewniejsza, robotnic. Uwaram się jednak w obowiązkach uprzedzić pana, iż iadna tedy nie przechodziła

Stefan. Ja też nie gonię.

Edward. I ja tak myślę..... Robotnic darmo by tu szukać. Przynajmniej ja nie upatruję żadnej.

Stefan. Na tak bystre oko, jak pan, to mnie mocno dziwi.

Edward. (z wymuszonym uśmiechem.) Chyba.... chyba panna Wanda -

Stefan. Zgadłeś pan.... (do siebie.) Winna przyjąć i dać mi odpowiedź, (zł.) brekam właśnie na nią.

Edward. Latem....

Stefan. Może przeszkadzam panu?

Edward. Bynajmniej. Kiem dobrze, iż tamować taką drogę młodemu sztowickowi - jest to samo, co pozbawić go celu życia! Odebrać mu miłość

kobiety, znaczy maltretować go zupełnie! Zarna-
czę tylko, iż ta przynajmniej, zdaje się nie zaliczać
do konstelacji gwiazd, które upadają.

Stefan. Panie doktorze, mam zaszczyt oświadczyć mu, iż
jedynym moim celem było i jest posiadać jej rękę.

Edward. A w takim razie..... (n. s.) ~~Tęgo nie wiedziałem!~~
(gł.) Pozostaje mi więc powinszować jej i panu
karyjery!

Stefan. Kiedy pan już wiesz wszystko, proszę: zostaw
mnie samego..... szukam.....

Edward. Najchętniej, jak najchętniej. (odchodzi parę kroków.)

Stefan. (n. s.) On jeszcze tu.

Edward. (n. s.) Czyż może być dla mnie rywalem?
Ja i on? Jednakże..... (gł.) Przepraszam, jeszcze
chwilę.... mam coś do udzielenia.....

Stefan. Słucham pana.

Edward. Jakkolwiek okarzę się niedyskretnym, pozwolisz
pan, iż śmieję się go zapytać, jaki jest twój
stan finansowy?

Stefan. Nieswietny.... Lecz, cóż to ma do rzeczy? Nie
jesteśmy materialistami: ani ja, ani ona.

Edward. Hm..... Pan, to widoczne.

Stefan. (z oburzeniem) Jakto! Oniej pozwalasz pan sobie
wątpić? Gdzież dowody?

Edward. Właśnie też..... (n. s.) (~~Badź co bądź, niemiła
sytuacja~~)

Stefan. Pan to zauważyłeś? Nie znasz jej wcale.

Edward. Może.....

Stefan. Co to ma znaczyć? Mów, mów pan!

Edward. Ależ.....

Stefan. Ja ja, chcę zaślubić.... muszę wiedzieć wszystko.

Edward. Zmuszasz mnie pan sam powiedzieć prawdę;
więc.... ona nie może być pańską żoną, bo....

Stefan. Bo.....

Edward. Bo jest moją kochanką!

Stefan. To fatalz!

Edward. Jak się podoba (*chce odejść*)

Stefan. (*wstrzymując go*) Panie..... Widzisz.... jaką walkę staram ze sobą! Ja nie wierzę, ja nie mogę wierzyć.... Nie! To żart! Ułóż się.... mów pan!

Edward. Daję słowo honoru!

Stefan. (*chwytając się oba rękami za głowę*) O! moje nadzieje! moje nadzieje! (*Kochając, bije głowę o drzwi*)

Edward. (*n.s.*) Żal mi go (*po długim milczeniu*) No... no... nie drecz się pan i nie wyczerpuj..... gdyż przede wszystkim o siebie dbać należy.... Spóźniłeś się.... bynajmniej wina? Łacisz kask pięście? O, panie Stefanie, ja strzelałem celnie! A reszta, co ci przyjdzie z trupów? Roztaczysz dwa kochające serca, a sam zostaniesz ze zgryzotą! Wieraj mi, lepiej zapomnieć..... Jesteś młodzieńcem, świat i szczęście otwo-rem.... Ostatecznie, jeśli rozsądek przewagi nie weźmie, stwierzę ci w każdej chwili. (*wychodzi*)

Stefan. Nie wpraszałem się nigdy z miłością, nie narucałem swego uczucia nikomu.... Bałem się zawodów, nie chcąc zranić ambicji..... To śmieszne! Świat łagodność-tęchłością, a dobroć-głupotą nazywa! Szanować i kochać go nie warto..... Pełna z lekliwą nieśmiałością! Niech żyje egoizm, nie-eruciość, arrogancja, niech przepadną szlachetniejsze porwy! Pieniądz-to wrzysko! Jego mi zagarnąć!.... Gdy wydarto mi świat podnioslejszy.... ja zamknę serce dla szlachetnych porwów i marzeń. (*odchodzi*)

Akt III

W pracowni doktora.

Scena 1^a

Edward i Wojciech.

Wojciech.

(: ramyka okno:)

Edward.

(: siedząc przy biurku nad książką:;) Czy moja żona udała się na spoczynek?

Wojciech.

Nie, spaceruje z jasnie panem prokurem w ogrodzie

Edward.

Tak..... a reszta towarzystwa?

Wojciech.

Wszyscy odjechali zaraz, jak wielmożny pan opuścił salon, prócz pana Stefana

Edward.

A panna Wanda?

Wojciech.

Odjechała.

Edward.

W towarzystwie?

Wojciech.

Nie, sama. Pan Artur miał ją podobno odwieźć, ale zamiechał później..... o..... pan Artur idzie tu do pana doktora!
(: Artur wchodzi:)(: Wojciech wychodzi:)

Scena 2^a

Edward i Artur.

Artur.

Sysznie! Wiedznie przy pracy!

Edward.

Jak widzisz, mój drogi.

Artur.

No..... nie tak znówu drogi....(nachylając się:)
Ale pracujesz zawzięcie.

Edward.

Taki już ze mnie zawzięty włowiek (patrzy przez chwilę w mikroskop.) Patrz! Jeszcze jeden etap! Jeszcze jeden polot genjuszu i dzieło będzie ukończone..... Bucz jej nadatem, więc życie tleje w zalażku, tego mi nikt nie zaprzeczy. Stworzyłem coś, co żyje; stworzyłem komórkę, podwalinę ludzkiego ustroju, wszak widzę jej ruchy

wyrażenie na polu mikroskopowym..... (patrzy
znowu w mikroskop.) Nie! Mylić się nie mogę.....
To nie jest optyczne złudzenie! Czy widzisz?
Ona kraja.... ona żyje!..... wróć mam dobry
a miłość własną nie tak znów wybujała,
by zaślepić mnie miała.... Zresztą, badaj
sam, porusza się! Lecz to nie wszystko!
Trzeba mi dowiedzieć, że mój załazek będzie
się rozmnaział, a wtedy..... wtedy, powiedz
mi, który z uchronych siviata nie uchylił
przedemną czoła? (spogląda na zegarek) dzie-
sięta.... bierzemy się (siada przy stole i zajmuje
się pracą.)

Artur (patrzy przez chwilę na Edwarda z pogardą.) To co
ta blaga przedemna, zostaw te napuszone
wyrzuty dla twych przekupionych zwoln-
ników. Nie zamyślaj mi oświadczeniem

Edward Co ci się dziś stało. Nie wypitesz za dużo?

Artur Owszem..... wypitem. Jestem pijany..... tylko
że napój dziwnie był gorzki.

Edward Zapiszę ci proszek sacharyny.

Artur Pregratem dziś w winta. Nie mógłbym
ci zapłacić. Markuj więc porzyw mimowol-
nej szlachetności.

Edward Zwaryjowateś?

Artur Nożę i zwaryjuje niedługo.

Edward (n. s.) Bras byłby już wielki.

Artur Ale zanim chwila ta nadejdzie, skotacę
szczętki mej logiki i zdemaskuję cię!

Edward (rywając się) Co..... (n. s.) Kadesza chwila
walki (uspokaja się i siada na fotelu.)

Artur Ja wiem..... wszystko.

Edward Tem lepiej. Wzbogacasz umysł.

Artur A ty - kieszemie cudzemi pieniędzmi.

Edward Dla tego też je mam, a tyś goły.

- Artur. Tak... Jestem zrujnowany, lecz nie jestem nikczemny.
- Edward. Tę gorzej dla ciebie, bo nikczemnym wszyscy cię nazwą z chwilą bankructwa (zapala cygara) Może zapalisz?
- Artur. (: chodząc po pokoju wburzony!) Co za bezcelność!.....
(: zatrzymując się przed Edwardem.) Słuchaj... Mówmy otwarcie.
- Edward. Najlepiej (: Artur miły czas pewien.) Mów ino prędzej, bo mi szkoda czasu.
- Artur. I czas twój jest zapłacony przez nas.
- Edward. Tak... ale mógłbym go powtórnie sprzedać komu innemu.
- Artur. Czy myślisz żyć wiecznie, że tak o zysk ci chodzi.
- Edward. Oho! Groźba śmierci..... No, cóż?
- Artur. Słuchaj! Wiele nas dawniej łaczyło. Jednocześnie sceptycznie zapatrywaliśmy się na świat i ludzi, bawiliśmy młodzieńca, fantazja i wiara, choć sami byliśmy młodzieńcami, szydziliśmy z ideałów i sami, zda się, nie mieliśmy żadnego, nie mieliśmy w poszanowaniu niczego, nie wruszała nas miłość kobiety, Nie było dla nas na świecie złego ani dobrego. Nie rozumieliśmy szczerych porывów, cierpienia w imię idei, nie znaliśmy wartości poświęceń i ofiar. Egoizm w sercu, szyderstwo na ustach, pesymizm w głowie, zaspakajanie niskich namiętności - oto, była nasza barwa, nasza dewiza. Byliśmy mumjami wśród pełnych szlachetnych porывów ludzi, bałwanami - tam, gdzie trzeba było czuć, cierpieć i walczyć. Później rozstaliśmy się, na czas Długi. Zdała się szansa o twoich sprawkach. Bedac

Sam moralnie upadłym, zatopiony w kale zmy-
słowych uciech, trwoniąc grosz ojcowski, nie cru-
tem się w prawo. ^{potypiać cię} Tyłem zły, lecz zły dla siebie,
slabszych od siebie nie trwyworitem. Nie mogąc
znaleść dla siebie szczęścia, nie psułem go innym!
Nie cierpiatem ludzi, lecz nie robitem ich ofiarami
swojego gniewu. Ty postępowałeś inaczej. I oto,
tarzając się we własnym upadku, dowiedziałem
się, że żenisz się z moją siostrą! Pospieszyłem do
domu i było już zapóźno. W jaki sposób ty, zimny
człowieku, ty egoisto, mogłeś zdobyć miłość tego nie-
winnego dziewczęcia, to pozostanie dla mnie nigdy
niewytłomaczoną zagadką. Widząc swe usiłowania
daremniemi, dalem pokój perswazyjom. Może
stał się innym człowiekiem, myślałem. ^{ta} Fortność
jednak zrzuciła inaczej. Łate wasze dwocześcienne
pożycie matreniskie - to jedno ciągle pasmo dowo-
dów miłości i ofiar ze strony mojej siostry, za
które płacisz jej oburającym lekceważeniem,
zimnem, nieomal pogardą! Wreszcie - masz
kochanki. Bezwstyd swój posuwasz tak daleko,
że głośno przyznajesz się do nich, za nic wając
honor swej żony i mojej siostry. Czy sądzisz, że to
ci ujdzie bezkarnie? Teraz ja przemówię i prze-
mówię tak, że jakkolwiek wielkiem jest twoje zuch-
wałstwo, uleść musisz. Słuchaj więc: Nie wolno
ci zdradzać mej siostry, nie wolno ci być złym
człowiekiem, skoro jesteś jej mężem, nie wolno ci
zniesławiać jej czystego imienia! Inaczej walka
między nami, walka na życie i śmierć!

Edward. Czyś się już wygadał?

Arthur. ^(hamując się) Już i czekam z twojej strony De-
cyzji.

Edward. Oto ja, masz. Nie wyzywaj mnie do walki, bo w niej
zginięsz i wyjdiesz na nędzaka.

Artur. Zatruteś szczęście mej siostry, skanibites jej honor, zagrabites jej posag, który tuwonisz szalenie na pseudo-naukowe mrzonki, wydzwignates się przez ojca mojego z kłopotów finansowych, wyrobites sobie dzięki poparciu z jego strony stosunki i jeszcze smiesz grozić!

Edward. I urzeczywistniesz swą groźbę, jeżeli zejdziesz z drogi rozsądku. Jesteś tak zaślepiony, że nie rozumiesz swej sytuacji w tym domu.

Artur. Ha!

Edward. Jesteś tu cierpiany, tolerowany, nic więcej! Tęść mój ma cię prawie za wyrzutka, siostra twoja optakuje cię, jako straconego człowieka. Bo, czy w ich przekonaniu możesz zasługiwać na coś innego? Stracites swój dział, długów masz po uszy, interesu ojca kontynuować nie możesz, nawet rodu Burzów nie jesteś w stanie przedłużyć, straciwszy zdrowie na bulankach i orgiach. Taka jest o tobie opinia. Może niesłuszna, ale jest. To wiedz i milcz, bo głosu twego w tym domu nie usłucha nikt.

Artur. Mylisz się. Przemówię tak, że usłuchają.

Edward. Spróbuj. (odwraca się do niego tyłem i zaczyna pisać.)

Artur. (trącąc go za ramię.) Powiedz mi, dla czego ja zdrazczasz?

Edward. A czy lichy cię przyniosło, czy co! Wylałeś mi atrament na ksiarke!...

Artur. Dla czego ja zdrazczasz!

Edward. Kocham Wandę, wiesz dobrze..... podstuchales nas.

Artur. (odstępując parę kroków.) Ty..... ty..... ty zdolny jesteś pokochać.

Edward. Proszę cię, mój drogi, idź spać.

Artur. Nie..... tej nocy prawdopodobnie spać nie będę. Luje..... czuje, jak wielki przewrót dokonywa się we mnie, że.....

Edward. Że aż przewracasz kotłamarze. (Klepiąc po ramieniu.)
No..... no, idź, mój kochany, odcep się odemnie,
przepraszam że rozkazuję, ale ja, widzisz, jestem
tu wszystkim.

Artur. Widzę, to i nadużywasz swojej przewagi niegodnie!

Edward. Jaki to nadużywam? Czy szkodzę ci, czy kopię pod
tobą, dotki, jak ty to robisz.....

Artur. Edwardzie, proszę cię, jeszcze słowo!

Edward. Ach! proszę cię, daj mi pokój! Pogadamy jutro.

Artur. Nie..... ja chcę dziś; każdy wtorek, nawet naj-
bardziej upadły moralnie, ma jakiś swój punkt
honoru, ma jakąś skrytkę w sercu, zadrasnicie
której sprawia mu ból niestychany. Tę skrytkę,
tym punktem jest honor i szczęście mojej siostry.
Porzuć, błagam cię, kochanki; bądź dla siostry
mej lepszym, miej dla niej odrobinę serca....
Ja cię błagam..... czy ty widzisz, ja modłę się
do ciebie..... (Kłóci przed nim.)

Edward. Co ty wyprawiasz! Mówisz, jak Karnodzieja!
Może księdze ni jeszcze zostaniesz? (Inicjuje się.)

Artur. Zostałbym, gdybym zostać nim był godzien.
Niech tylko moja siostra będzie trochę szczę-
śliwszą! Ja resztę życia, zmarnowanego na
bulankach i radzach spędzę w osamotnieniu.
Wsunę się stąd, by nie rzucić duszyrozrytej jadem
zważpienia i rozpacz. Lecz dla niej bądź innym.
Przezań ile chcesz, bo pamiętaj, że pogwałcenie,
pod ciężarem którego ja dziś upadam, kiedyś
i ciebie zagarnąć może.

Edward. Zabawny jesteś. Cóż tedy mam czynić?

Artur. Rzuć Wandę i inne, jeżeli masz jakie kochanki.
Bądź dobrym mężem dla mojej siostry i przezań
twonić nasz majątek. Czy postąpisz tak, czy
dasz mi na to słowo?

Edward. Daje ci słowo, że tak nie postąpie.

Artur. Ha!..... (z wściekłością:) Jesteś nikczemny! (ruca się na Edwarda, który go ręką wstrzymuje.)

Edward. Szaleńcze!

Scena 3^{ia}

Liś Burg i Bronistawa.

Bronistawa. (z sceny:) Edwardzie... czas na spoczynek.

Artur. (biegnie do drzwi:) A jesteś tu, dobrze!... W samą porę! Niech się raz to skończy; Ojciec, chodź tu... chodźcie tu wszyscy.

Edward. (n. st.) Dzieni próby.

Bronistawa. Arturze!

Burg. O co ci chodzi? Czegoś tak zirytowany? Z jakiej przyczyny?

Artur. (wskazując na Edwarda:) Oto przyczyna!

Burg. Co?!

Bronistawa. Co?! (Edward uśmiecha się.)

Artur. Doprowadzony jestem przez tego człowieka do ostatniego stopnia passyi, jestem tak rozdraszony, że..... nie mogę mówić, dławí mnie coś w gardle..... (Edward uśmiecha się.) On się jeszcze śmieje..... (ruca się do okna.) Powietrze! Powietrze!

Burg. Mów ty, co się stało, gdyż od niego nie wiele się dowiem. Robi na mnie wrażenie warijata.

Edward. Arturowi spodobało się dzisiaj osypać mnie gradem obelg, choć na nic nie zasturzyłem.

Artur. Niezasturzyłeś pan!... I śmiesz tak mówić..... pan..... ty.....

Bronistawa. (stając między nimi:) Arturze! Mówisz do mojego męża!

Burg. (n. st.) On zwarijował! (gd.) Czy ty się uspokoisz?

Artur. (wolniej:) W istocie..... trzeba się uspokoić, bo..... inaczej przegram.

Burg. O co wam poszło?

Artur. Ojcie, powiem ci krótko. Lecz, gdy powiem, dam ci do wyboru: dla nas dwóch miejsca tu nie ma, lub ja pożegnani się z wami na wieki; lub on dom wasz opuścić musi.

Bronistawa. (tula się do Edwarda.) Ock! Nigdy! (Edward obejmuje ją, udając wzruszenie, Bronistawa ratuje go.)

Artur. Nie ratuj go!... Nie ratuj!... Nie plan się!...

Bronistawa. (w oburzeniu.) Allez to zniewaga! To okropne!

Edward. Miłość moja ku tobie jest tak bezmierna, że miłość i cierpię. (Artur wybucha szyderczym śmiechem.)

Burg. (podniesionym głosem.) Czy dowiem się nareszcie, co tu zaszło?

Artur. Oskarżam Edwarda, że jest niegodnym tego zaufania i stanowiska, jakim w domu naszym cieszy się; że dla ciebie, ojcie, jest obtudnym, że krywdzi cięko moją siostrę, że hanbi ją, że jest z tym mężem, że jest wreszcie nikczemnym człowiekiem.

Bronistawa. Priestań! Miłość! Rozkaruję ci!

Artur. Gdyby w tym człowieku była choć iskielka uczciwości, rzuciłby się na mnie i zadusił mnie!... Lecz on ma niedziane czoło!

Edward. (uspokajając.) Kocham cię, moja najdroższa. Nie płacz! Potrafię obronić się. (Bronistawa głośno tka.)

Burg. (powoznic.) Mój synu! Ławszem miał cię za pedziwiatra i lekkoducha... lecz nie za złego człowieka; słowa, w tej chwili przez ciebie wyrzuczone, dają mi wiele do myślenia... Czyś się dobrze zastanowił nad tem, co mówisz? Proszę cię, gdzie dowody? Proszę o nie.

Artur. Natychmiast.

Burg. Krywdzisz mojego zięcia, którym się chlubię. Krywdzisz człowieka, ukochanego przez twoją

siostrę. Jeśli masz zamiar rucić na niego po-
twarz, nie czyn tego, bo.....

Artur. Bo wypędzicie mnie z domu, wiem o tem. Cre-
kajciez jeszcze chwilę. Pojde sam.

Burg. [zinnos] Nikt tu o wyrzuceniu nie mówi:

Bronistawa. Arturze..... Mój bracie..... (biorąc go za rękę) mój
braciszku, co ci jest..... Czyś ty nie chory?

Artur. Ach! Macie mnie za warijata!..... [wybuchając]
O moja siostrzo, o moja biedna siostrzo [pryciska
ją do piersi, Bronistawa płacze] O tak, płacz! Płacz,
moja droga, bo mając prawo do szczęścia,
jesteś najniešťczęśliwszą z ludzi (Edward patrzy
na nich zaniepokojony)

Edward. Dostyc tego, mój panie! Da Daleko posuwasz
swe niegodne intrygi! Bronistawo, odstap od
niego! Ty nie masz brata! (Bronistawa patrzy z dzi-
wieniem na Edwarda) To twój wróg, to zdemoralizo-
wany człowiek..... to zbrodniarz, który w twem
czystem sercu zagnieździć chce jad rozpaczny i
zwatpienia, jak sam zwatpił o sobie. Odejdź
od niego, blagam cię i rozkaruję, jako mąż.
[Bronistawa wyrzuwa się z objęć Artura.]

Artur. Ojcie! Każ mu zamordować..... bo nie ręczę za
siebie! Do stać się tu może rzecz okropna!
[Burg daje znak milczenia Edwardowi.]

Edward. Sądziś, że się ciebie lekam? Zdusiłbym cię,
jak robaka.

Burg. Edwardzie, proszę cię, nie mów nic w tej chwili.

Artur. [stając przed Bronistawą] Siostrzo! Może brat twój,
brat, który kocha cię całą potęgą, uczciwego
braterskiego wzruscia, może ten brat po raz
ostatni do ciebie przemawia! Może nie zo-
baczymy się więcej..... Mów prawdę, bo mówi
do ciebie skaraniec, którego nie do świata już
nie wiąże..... Powiedz, czyś była dotąd z oto-

wiekim tym (*wskazuje na Edwarda*) szczęśliwą, czy
możesz powiedzieć z ręką na sercu, że on cię kocha,
że jesteś pewną jego miłości..... Mów..... mów.....
zaklinam cię na pamięć twojej matki! (*Bromista-
wa milczy i wacha się*)

Edward. (*Kłękając przed nią*) Droga moja! Chwila ta
jest straszna! Powiedz tak, jak ci serce i su-
mienie dyktuje!

Bromistała. Luby mój! Powstań! A więc tak..... Ojciec mój,
kochamy się oboje do szaleństwa. (*Edward po-
rywa ją na ręce i tuli do piersi*)

Artur. Ty - tak! Lecz on..... on.....

Bromistała. On..... (*patrzy przez chwilę na Edwarda, nagle z mocą*)
Przysięgłabym, że mnie kocha nad życie!
(*Artur pada na fotel wyzerpany*) Tak..... mówię prawdę,
bo..... bo..... tak mi serce dyktuje..... (*Edward przyciska
rękę jej do ust*) Mój drogi..... (*n. s.*) Edwardzie, pa-
miętaj na chwilę Dżisiejszą. Jesteś moim
Dziwnikiem!

Artur. (*po dł. chw. milcz.*) O głowo, krótkowidząca! O
jagnię, na rzeź idące!... Druj, bo topór wisi
nad twoją głową..... Lecz nie..... ja cię ocalę, ja
ocalić cię muszę!..... Ojciec, siostrze! Ten wsto-
wiek kłamie..... on..... on ma kochanki!

Burg. Co!

Bromistała. Co!

Edward. Zamieszanie!

Artur. Oho!

Edward. Gdzie dowody?

Burg. Tak..... gdzie dowody?

Artur. Przyznał się sam do tego..... dziś..... przed Stefa-
nem. Wymienił nazwisko tej, dla której zdradza
moją siostrę. Sam przyznał się!

Edward. (*n. s.*) Słyszał wszystko. Jestem zgubiony!

Artur. Czy może zaprzeczysz?

Edward. *(n. s.)* Może zyskam na czasie. *(zł.)* Słowa te są nik-
czemną potwarzą.

Artur. Ależ, szalencze, sprowadzę ci Stefana i ten po-
wtórzy ci własne słowa twoje.

Bronistawa. Edwardzie, jestcie to prawda? *(Edward miloży mając
wrzok, wlepiony w ziemię.)* Edwardzie..... *(wstrząsając nim.)*
Edwardzie! Ty milożysz! Boże! Daj mi siły!

Artur. Bo i cóż ma powiedzieć, skoro go zdemaskowałem.

Bronistawa. Bron się, Edwardzie! Daj klamrę tym słowom.....
Ach! pół życia bym dała, gdybyś był niewinnym.
O Boże, mój Boże!

Edward. Uspokój się.... Wierz mi, że jestem spotwarzony
więcej niż ci nie powiem w tej chwili....

Artur. Nie uda ci się tym razem! Proponowałem
ci zgodę, zapłaciłeś mi za nią cynizmem.
Teraz..... zobaczymy.

Burg. *(zwracając do wchodzącego Wojniczka.)* Poproś tu pana
Stefana Lipskiego. Choćby spał, zbudź go i
niech tu przyjdzie natychmiast *(do Edwarda.)*
Mój kochany, wielki zarzut ciąży na tobie.
Gdyby, na nieszczęście, okazał się prawdziwym,
rozstarczylibyśmy się natychmiast.

Bronistawa. Rozstarczy się!... Ach, cała drze! *(Edward
siada przy biurku i przesuwa kartki książki.)*

Burg. Moje dziecko, przejdź do drugiego pokoju.
Nie możesz być obecna dalszej rozmowie?

Bronistawa. Tępo! Ty nie chcesz mojego nieszczęścia....
Bo inaczej umarłabym z żalu!

Burg. Idź! Za chwilę cię poproszę.

Bronistawa. *(patrząc na Edwarda który zatopił się w książkę.)* Ani
spojrzyj się na mnie!... *(wychodzi chwiejnym krokiem.)*

Burg. Edwardzie, zachowanie się twoje w tej chwili jest
bardzo znaczące. Daje mi ono wiele do myślenia.

Edward *(sucho.)* Ani również.

Artur. Zapewne.

Scena 4^a

Liz i Stefan.

Stefan. (wchodzi) Pan prezes mnie potrzebuje. Jestem na rozkazy.

Burg. Dziękuję panu. Właśnie chcę z panem pomówić.

Artur. Panie Stefanie, czy.....

Burg. Asturze, pozwól mi zadać panu kilka pytań. Sprawa na tem nie straci.

Stefan. (zdriwiony) Słucham panów.

Burg. Czyś pan rozmawiał dziś po południu z moim zięciem, p. Doktorem.

Stefan. (z powściągnięciem) Tak.... rozmawiałem.

Burg. Wolno mi wiedzieć treść owej rozmowy.

Stefan. Panie prezesie, zadajesz mi pan pytanie nad wyraz drażliwe.

Burg. Czuję to dobrze. Lecz pomimo to zadam odpowiedź szczerą i szczerogółwą. (chwilę milczenia.) Ułatwię panu zadanie. Czy zięć mój robił panu (powściągnięciem Stefana) jakie zwierzenia?

Stefan. (gł. drżącym) P. Prezesie! Racz pan zaprzestać indagacji w tym względzie.

Burg. Nie mogę pana od niej zwolnić. Zauważ pan, że chodzi tu o rzecz niezmiernie ważną. Nie pański zwierzchnik, lecz ojciec, ciężko straszkany o swoje dziecko, żąda od pana wyjaśnień.

Stefan. Rozumiem..... (starczając walczą z sobą) rozumiem pana.

Burg. Coście panowie do siebie mówili (Edward wstaje i zamyka Książkę. Artur bacznie go sledzi.)

Stefan. Pomimo słuszności pańskiego żądania, odpowiedzi..... odmawiam (Edward słucha z natężeniem.)

Burg. Ależ ja nie żadam od pana nic innego, nad odpowiedź na jedno pytanie.

Stefan. Nie pytaj pan..... Nie powiem nic!

Burg. Stanowisz?

Stefan. (: z pomieszczeniem :) Jest to sprawa nadto osobista..... sprawa finansowej natury..... nikogo prócz mnie i pana Edwarda nie tykająca.

Burg. (: rozdramiony :) Ek! Nieprawda..... Poznaje to po panu; pan nie umiesz kłamać. (: p. c. :) Więc nie? Dobrze! Odstąpamy się na zawsze! Nie masz pan u mnie miejsca! (: Stefan kłania się i umiera ku drzwiom :) Stój pan! Jeszcze chwila..... To był kart. Stefanie, nie potrzebujesz już mi nic mówić..... ja wiem wszystko..... (: poruczenie Edwarda :) Wszak rziś rano zwierzałeś mi się pan..... rzuważyliśmy prawie wszyscy, że się starasz o pannę Wandę.

Artur. Tak, on ją kocha.

Burg. Musiał się oświadczyć, dla czego odstąpiłeś od tego zamiaru, dla czego wieczór cały unikasz jej... dla czego.....

Artur. (: chwytając Stefana za rękę :) Tak, mów dla czego się z nią nie żenisz.

Stefan. Prześtańcie mnie męczyć..... A więc tak..... Kocham ją..... Kocham.....

Burg. Więc coś stoi na przeszkodzie, bo, o ile wiem, ubóstwo Wandy w twoich oczach nie stanowi przeszkody.

Stefan. Ona mnie..... nie kocha..... Oświadczyłem się jej, odmówiła.... Ach! nie żądajcie odemnie więcej!

Burg. Ona cię nie kocha..... (: z radością :) Więc to jest przyorzyna i jedyna przyorzyna, że odstąpiłeś od zamiaru zaślubienia jej.... Daj słowo honoru, że mówisz prawdę. (: Bromista wa wchodzi i staje we drzwiach :)

Artur. Przysięgnij, że nic więcej nie stoi ci na przeszkodzie!

Stefan. (z walką!) Tak..... nic więcej..... przysięgam!

Burg. Wachasz się! Więc jest coś jeszcze?

Stefan. (z żywością!) Nie..... nie ma nic! Zaklinam się na honor, że mówię prawdę.

Artur. (chwytając go za piersi!) Płotwieku! Ty mnie zabijasz..... Opamiętaj się! Bronisz jego!..... Zwracasz się do kłamstwa, dajesz fałszywą przysięgę..... W imię czego? Na Boga, w imię czego? (Stefan wyrzuwa mu się i wychodzi!)

Burg. (patrzy z pogardą na Artura!)

Edward. (siada na fotelu, patrzy przez okno na Artura i obecnych!) Nie bronitem się wcale..... do tem możność każdemu wygadać się..... (do Artura z drwiącą miną!) Cóż teraz?

Artur. Nic! Nie mam nic do powiedzenia.

Edward. Ale ja mam! Powiem ci więc, że jesteś..... (wstaje Bronistawa rzuca błagalne spojrzenie na Edwarda!) bratem mojej siostry, i dla tego w tych słowach skreśliłam całą przyczynę mojej powolności..... (odwraca się od Artura tyłem i bierze Bronistawę za rękę!) Siadź przy mnie, moja droga.

Artur. Moja siostra! (zakrywa twarz rękoma i pada na koleno!)

Burg. (wstając!) Płotwiek może zblednąć, bo jest człowiekiem. Ale wszystkiemu trzeba stawić miarę. Mój synu, powiem ci me zdanie i pogląd o całym dzisiejszym świecie, świata którego zresztą dotąd jeszcze nie wiem. Powinieneś wysłuchać mnie tem chętniej, że dotąd chyba na surowość ojcowską uskarżać się nie miałeś prawa. Wszak przez spary patrałem na całe twoje puste i hulaszce życie, nie czyniąc ci prawie nigdy wymówek. Marnotrawstwo jeszcze nie jest hanbą..... Ale rzucanie

potwary na niewinnego włowicka - to hańba,
to szantaż! Jak śmiałeś spotwarzyć tego wło-
wicka, o którym wiesz, ile drożym jest
Bronisławie i mojemu sercu! Jak śmiałeś
spotwarzać go niewinnie, być wtedy, gdy on,
przejęty oburzeniem szlachetnym, bronić się
nawet nie raczył, uwarzając dysputę z
włowickiem, takim jak ty za rymę i
stusznie!... Znam twoje kłopoty, lecz jeżeli
zyskać coś chcesz na poróżnieniu
męża z żoną, jeżeli brak ci było pieniędzy...

Artur. Ojciec!

Burg. Na początku rozmowy dajesz nam do
wyboru: usunięcie z domu Edwarda,
lub twoje. Naturalnie, że wybieram to
drugie i proszę cię, spełnij twoją groźbę.
Włóciśz, gdy od niego (wskazując na Edwarda)
wyzyskasz przebaczenie.

Artur. (śmiejąc się do niego) Od niego!... Wyborne... ha! ha! ha!

Bronisława: (miejąc się na szyję Arturowi) O, mój bracie!...
Ja dziś ci już przebaczam. Nie myśl na
chwile, bym współczuła ze słowami mego
ojca..... Mój drogi bracie, mój biedny bracie!
(wskazuje go w drzwi, Artur siiska ją, Edward patrzy niemi-
shomo w podłogę.)

Artur. Dziękuję ci! Jde już! Bądź zdrowa! Roz-
stając się z wami, najdroższa siostrze i ojcu,
nie spodziewam się zobaczyć więcej (wskazuje
nie do Edwarda.) Dziś przegwałem, zobaczymy co
przyniesie jutro! (wychodzi.)

AKT IV

W mieszkaniu Wandy.

Scena 1^a

Edward i Magdusia. (wchodzi.)

Magdusia. Czy mam uprzedzić panią?

Edward. Nie trzeba.... Odejdź, ja zaczekam.

Magdusia. Że daje mi się, nawet że już słyszę kroki mojej pani (: odchodzi :)

Edward. (: usuwa się w głąb :)

Scena 2^a

Edward i Wanda.

Wanda (wchodzi ubrana jak na ulicę, spostrzega Edwarda chwilę milczenia :)

Edward. Dziwisz się, pani, zapewne, że śmiem zakłócać ci spokój w twojem ustroniu?

Wanda. Tak, dziwię się

Edward. Wiedziatłem, że odpowiesz, pani, tak.... Mnie zaś nie wydaje się to znowu tak dziwnem,

Wanda (: chłodno :) jako doktor patrzales pan zapewne na rzeczy jeszcze oryginalniejsze.

Edward. W istocie..... (z rozdrażnieniem :) Uważam, że z wiekiem nabierasz pani, panno Wando, krwi coraz zimniejszej.

Wanda. A pan?

Edward. Że ja, coraz więcej tracę.

Wanda. Czy w tym celu przyszedł pan tutaj, by wziąć odemnie parę lekcyj?

Edward. Owszem; przecież stać mi na to, bym za nie zapłacił.

Wanda. Dobrze. Magdusia przedstawi panu warunki.... (chwyciła za dzwonek i chwilę wacha się, patrząc na Edwarda, który stoi przed nią z skrzyżowanymi na piersiach rękami :)

Edward. Nie dzwoń! Przecież wyjść mogę i sam.

Wanda. Proszę, wryj to pan, jak najprędzej!

- Edward. *(przysuwając się do niej.)* Nie kłam i nie udawaj... Ja nie słucham słów, a radzę się twojego serca, ono zaś mówi inaczej..... *(siadając przy niej i ujmując jej rękę.)* Wando, mów do mnie inaczej..... cieplej!
- Wanda. Nie umiem..... nie potrafię *(p. c.)*. Bo i od kogo przejąć mam uczucia cieplejsze? Gdzie wszy? *(p. c.)* Może pan!...
- Edward. Pani!... Nie mów tak..... Widzę, jak nisko w oczach twych upadłem.
- Wanda. Staisz pan za to wysoko w oczach innych osób. Czy to nie dosyć?
- Edward. To dla mnie obojętne. Chcę wiedzieć, co myślisz o mnie..... *(przysuwając się do niej.)* Chcę wiedzieć, czy klećąc u twoich stóp, mógłbym wyblagać jedno więcej tkliwe wejście, czy tuląc namiętnie do ust twoją dłoń, doczekałbym się na koniec mocniejszego w twojej piersi bicia serca..... *(chce objąć ją w pód, Wanda wyrywa się.)* czy wiecznie będziesz dla mnie zimna i niedostępna, czy....
- Wanda. Czego pan radasz o demnie?
- Edward. Kocham cię! Miłość moja wzrasta z dniem każdym!
- Wanda. *(smutnie.)* Tak! Myślny mogli być szczęśliwi... Czemże dziś jestem? Mniejsza o mnie! Ty jesteś zadowolony?
- Edward. Mówisz tak, jakbyś miała żal do mnie.
- Wanda. *(wyrywając się z krzykiem i wybuchem.)* Tak! Sto tysięcy razy tak! Narwij mnie szalona..... masz słusność! Sądziś że jedno i to samo serce nie jest w stanie płomieniem żarem miłości i tleć zgrzygotą żalu? Pod maską spokoju nie krytaś nigdy uczucia, ciężko zawiadzonego? Gdzie twój zmysł spostrzegawczy, gdzie analiza duszy

człowieka? Nie mam do pana praw żadnych...
winnam ci wdzięczność za protekcję w mej
dalszej karierze u Burgów, a jednak suchem
okiem patrzałam na twoje starania w celu
zabezpieczenia mi bytu, zimnem sercem
odczuwałam przystugi..... Co więcej, widziałam
w tobie nigdy niewyptacalnego stwornika!
Edwardzie! Ja nie jestem bezprzytomna, z nas
dwojga ja..... ja ponosiłam ofiary... Ostatnie
lata ubiega, jak cię poznalam, cztery lata
ubiega, jak straciłam spokój i pogodę
umysłu! Spójrz na moją twarz blada,
czytaj na niej ślady nocy bersennych, policz
brzy, które te oczy wylaty..... Zniweczyłeś moją
wiarę w dobro i uczciwość, owładnąłeś
brutalnie moją myślą, wydarłeś mi na-
dzieję, zburzyłeś gmach moich najlepszych
chęci, rozwiasteś wrok do życia! Czy ty poj-
mujesz, zimny filozofie, że świat Kobiety,
to nie laboratorium i lancet, to nie wór
pieniędzy, to nie pogoni za sławą i rozgłosem!
I oto stoję przed tobą, zmaltretowana, choć
przez cię nietknięta, w kwiecie ^{młodości} młodości, a
już życiem zdruzgotana; istny grób pobie-
lany, piękny na zewnątrz, a w środku dy-
szący okrydła śmierci! Tyś zrobił to ze mną,
uczyniłeś to z wiedzą..... Tem winna twa większa
Młodość jest samolubna..... Mam prawo skarżyć
się na ciebie bo wiedziałeś, że drzę na dźwięk
twojego głosu; że drzę, dotknawszy twojej ręki,
a jednak.....! Niestety, Kochalam za wiele!

Edward. A dris'?

Karola. (patrzy chwile na Edwarda.) Coż dris' między nami być
może?

Edward. To, co mogło być dawniej, a co jedynie uległo

spóźnieniu.

Wanda. (z zdumieniem) Jaki to?

Edward. Czyż nie mogę być wolnym?

Wanda. Czy dobrze słyszę, panie doktorze?

Edward. Wybornie.

Wanda. Wistocie byłeś pan wolny, przed dwoma laty

Edward. Ach! Matrymonium..... Coż to znaczy! Stać mnie i na rozwód.

Wanda (po dług. chw.) Panie Edwardzie, coś pan ostrymał z ręką panny Burg?

Edward. Możliwość doprowadzenia do końca mego wy małarku.

Wanda. Jesteś więc pan u schyłku szczęścia.

Edward. Ty jesteś stokroć szczęśliwszą odemnie.

Wanda. Pan żartujesz chyba! Ach! to zabawne!

Edward. Posłuchaj mnie, panno Wando! Straciłem spokój tracę wytrwałość, nie mam już tej zimnej krwi, z którą dawniej patrzalem na bieg spraw ludzkich, wyszedłem z roli obserwatora ludzkich słabości i śmieszności, dziś przeciwnie sam staje się słabszym co dzień, a śmiesznym, jeżeli nie gorzej, jakże wydać się muszę w oczach duchów podniosłych, jak ty, na przykład. Bo zaiste, com robił rozumnego: dla doprowadzenia do skutku swej pracy, dla zdobycia w tym celu funduszu, jednym słowem, dla gorączki stawy poświęciłem może rzecz wainniejszą: swoje szczęście. I stojąc dziś przed tobą, ja, doktor, zięć milionera, utowick już sławny i wpływowy i drzę przed tobą, słabą i biedną, drzeworyną, drzę jak winowajca przed sędzią, choć sędzia mój jest tak łagodny, i wzię to, jak dla mnie przychylny. Nie umiem zdać sprawy, jak narwać furię, w ściga mnie i dręczy; nie

wiem wy jest to głos sumienia, lecz czuję to wyraźnie, że nie postawię kroku fałszywego, nie zmieniając się z tobą, lecz czuję, że nie da się zwinąć drogę życia. Myślałem, że siłą woli pokonam słabość serca, studzenie!... w miarę tego, jak rosnę w bogactwa i zaszczyty, zaczynam pragnąć szczęścia innego rodzaju, ja, utwór praktyczny, zaczynam gonić za ideałem, w moim amaterializowanym - sercu budzi się pożądanie szlachetniejszej, wyższej, nie zmysłowej realnej rozkoszy, chcę wypełnić pustkę, przerazającą, zimną pustkę, którą czuję w sercu, której dawniej nie lekłem się wcale, a której dziś lekąć się zaczynam. O, moja Wando!

Wanda. Aż czem dziś przychodzisz, Edwardzie, do biednej samotnicy? Ofiarujesz mi swoje uczucie... i w jakiej formie? Kochanką swoją nie będę nigdy, a żoną,.... Przepuściwszy nawet, że rozwód uwolni cię od pełt matczyńskich, sądzisz że mnie zdolną do tego, bym kosztem jej zgrzygot używała światła i miłości?! A ktoś mi zresztą zarecytować może, że gdy szła przeminie i mnie nie spotka los Bronisławy?

Scena 3^{ia}

Edw. i Stefan.

Stefan. Spotka, zarecytam.

Edward. (sportnegując Stefana) Ha!

Wanda. Pan tu?... Jakim prawem!...

Stefan. (zimno) Mam je więcej, niż ten oto pan

Wanda. (chwytając kciukiem za stół i ciągnąc go do pierśi) Boże! Dodaj mi siły.

Stefan. Panno Wando! Jestem utwór uczciwy o przeszłości, obecność więc moja hańby przynieść ci nie może. Wyrnaję, że nie szedł tu, chcąc

ci coś innego powiedzieć, niż to co bezwzględnie
powiedzieć zamierzam..... Lecz teraz, dzięki temu,
iżem niegroźniejszy słuchał was oboje przez chwilę,
muszę ci powiedzieć, że nie posiadają się z
radości, że miłość do życia powraca mi znova,
że czuję się szczęśliwym.... O Wando, pani nie
domyślasz się nawet, ile jeden wyraz, wyrecro-
ny przez ciebie zakwasył na szali mojego życia!

Wanda. panie Stefanie..... nie rozumiem pana.

Stefan. Zrozumiesz mnie natychmiast, gdy powiem
pani.....

Edward. (prerywając.) Widzę, że chcesz pan wypowiedzieć
wszystko, co ci ciąży na sercu. No i nie dziw,
od spiegotstwa do potwarzy-krok tylko jeden.

Stefan. Wyświetlenie prawdy, szanowny eskulapie,
nie jest spiegotstwem. Kto zaś z nas
obu ciska oszczerstwa, wyjasni się zaraz.

Edward. Może i nie..... Proponuję panu wyjść stąd
natychmiast,

Stefan. (wyrusając ramionami.) Czy może być!

Edward. Jesteś nikczemnym! Nachodzisz dom
cudzy, kompromitujesz bezbronną kobietę..
(zblizając się do Stefana w postawie groźnej.) Precz
stąd!

Stefan. (wyjmując rewolwer.) Jeśli choć krok zrobisz
naprzód.....

Wanda. (zastaniając Edwarda.) Boże wielki!

Edward. Jesteś niedziakiem!

Wanda. Edwardzie..... zamiloż! (z rozpazem.) On go zabije!

Stefan. Chcesz zyskać na czasie..... lecz nie uda ci
się tym razem. Zresztą, możemy się i bić,
choć, doprawdy, szkoda ręki na takiego
szubrawca..... Czas się znajdzie na wszystko.
Tymczasem proszę nie przeszkadzać!
Długo tu nie zabawię; powiem, co trzeba

i wyjde,..... to jest wyjdziemy oboj, bo nie przypuszczam, byś pani po tem, co powiem ci, ścierpięta tu dłużej obecność tego człowieka.

Edward. (do Wandy:) On tu zaraz oskarzy mnie.

Stefan. Radzę być cicho, bo zastrzelę jak psa!

Edward. Owszem. Mów pan (zdeteminowany) Wszystko mi resztą jest jedno.

Stefan. A co! mam cię teraz w ręku? Rozpacz, pojdaś za nią, zgryzoty i kara. Chwile, jeszcze.... brzośność wyratowała cię wczoraj, wyryskałeś moje potóżenie..... Trisłaj zginiesz od własnej swej broni (zwracając się do Wandy) Panno Wando! Ja zapytuję się, zapytuję w imię miłości ku tobie, w imię miłości, o istnienie której jesteś przeswiadczona, czy jest to prawda, że stała się kochanką tego człowieka?

Wanda. Ach!

Stefan. Jest to fakt! Wszak przed chwilą słyszałem właśnie twoje słowa, które obalają podobną potwarz.

Wanda. (Przając:) Oh! oh! oh!

Stefan. (podr. gō.) A potwary tej twórcą jest pan Edward Krucki. Gdy mu, niebawny, zwierzył się, że cię kocham, powiedział, śmiejąc się: Wanda nie może być twoją żoną, bo jest moją kochanką. Czy słyszysz pani - jego kochanką!

Wanda. Powietrze!... Tchu mi brak! (pada na kręsto) Edwardzie ty... ty... Edwardzie... tyś to powiedział?

Edward. Powiedziałem (Wanda gō. płacze) Pani..... możesz..... masz prawo mnie nienawidzić... Opuzczam cię natychmiast..... Niech wielkość

22
mych cierpień będzie karą za mój występki! (głęboko
wzruszony.) Opuściam cię na wieki!

Wanda. (do Stefana.) Odejdź pan, proszę.

Stefan. Rozkazujeś, odchodzę. Wierzę pani, że jedynie
ożywiony najtkliwszą ku tobie sympatją, drząc
o szczęście twoje, osmieliłem się najść ten dom,
by zdemaskować tego sto cztowicka i wyrwać
panią z jego sponow... Sądzę, że teraz kochać
go nie będziesz, że nie kochataś go i przedtem
(do Edwarda.) Co zaś do pana, zobaczymy się jeszcze!

Wanda. Wyjdź pan natychmiast! Okazałeś gorliwość,
całkiem zbyteczną (zawierając się na rzy Edwarda.)
Tak... jestem kochanką, jestem jego kochanką!

Edward. Wanda....

Wanda. Kocham go nad życie!... (do Stefana.) Legnam (całując
Edwarda.)

Stefan. (patrzy chwilę w osłupieniu.) Podła! (wybiega.)

Edward. (pasując na kolana.) Jestem skruszony.... (całuje
koniec jej sukni.) Jestem ptazem przed tobą,
srożytny, szlachetny genijusz! W mem ska-
mieniadem sercu budzą się nieznanne mi
dotąd uczucia.... Ja.... ja mogę.... mogę być
jeszcze uciążliwym cztowickiem, bo ty mnie
kochasz....

Wanda. Powstań!

Edward. Nie! Pozwól mi u stóp twych pozostać....
(cisnąc rękę Wandy do ust.) „Jestem jego kochanką;
o tak! Te słowa ty jedna bytaś w stanie wy-
mówić, gdyż nie ma czynu tak wzniostego,
do którego nie bytabys zdolną! Ty jedna
rozumiesz mnie dokładnie! Kochałem cię...
kochałem do tego stopnia, iż nie mogłem
zawachać się przed niczem, by tylko ciebie,
meo bóstwa nie stracić!... Nie śmiem się
uniewinniać, lecz tyś sama powiedziała, że

miłość bywa samolubna! Nie potępiasz mnie,
jak płytka myśl, istota, bo delikatne uczucie
twoje odgadło, iż ten, kto dla ukrycia swego
skarbu dobrowolnie jego wartość obniża, musi
o niego drzeć, musi lękać się jego wydarcia....
Spotwarzyłem cię, pomimo to z dumą, nie-
mal przemawiam: potwarz tę sam unie-
ważnie, w śmiech ją obrócę, gdy, wziąwszy
cię za matryonkę, otoczywszy szacunkiem
bez granic, pokazę ludziom, iż szkodnikiem
z ich Tatwowieńskości..... Może jestem w
twoich oczach występny, iż krzywdzę tę,
co mnie miłością darzyła, lecz mnie
nierównie więcej krzywdzono, czuję że
robię źle; wiem, że postępowanie moje
usprawiedliwić się nie da, lecz co porać,
co porać, najdroższa! Jedno wyjście jest -
śmierć, Lecz ja..... ja..... moje bóstwo.... ja
nie chciałbym jeszcze umierać, a żyć bez
ciebie nie byłbym w stanie. Ty wynajdziesz,
jestem pewny sposób rehabilitowania
mnie przed ludźmi, tobą i mną samym....
obudzisz w mem sercu zagastę iskry ludz-
kości, nauczysz z większym pobłazaniem
na ludzkie czyny spoglądać, ukoisz rany,
dasz mi szczęście i wymożesz przebaczenie
dla tych, co złościwością mnie karmiąc,
uczynili ze mnie statwę kamienną, nie
z krwi i kości człowieka!...

Wanda. Luby mój!

Edward. Więc kochasz mnie trochę?

Wanda (tuląc się doń.) Pytasz się jeszcze!

Edward. Tak..... bo wyraz ten z ust twoich brzmie dziwnie
upajająco! (zegar bije siósta.) Już!... (puncerając
Wandę.) Przekleństwo!

Wanda. Co ci jest, najdroższy!

Edward. Przed tobą tajemnic nie mam żadnej! W tej godzinie srekuje mnie u siebie Fenowicz, z którym mam się umówić co do jutrzejszego mojego wystąpienia..... Lecz ciebie opuścić i..... w takiej chwili!

Wanda. (: smąc :) Wistocie, lękam się czegoś; ale to przejdzie..... Umysł, zdęorony klęskami nie wierzy swojemu szczęściu i wyrzuka wiary nowe przeciwieństwa..... Idź, najdroższy!

Edward. Pozwalasz mi więc?

Wanda. Proszę o to!

Edward. Wando, ty mnie kochasz prawdziwie.... Gdybym nie stawił się tam, sprawa moja poszłaby w odwłokę, a może jeszcze inny wzięłaby obiót.....

Wanda. Latem spiesz, mój jedyny!

Edward. (: patrząc nań z zachwytem.) Aniele mój, tegnam cię na bardzo krótko! Do jutra więc..... Do jutra!

Wanda. Idź! (: Edward wychodzi.) Sama jestem, lecz nie opuszczona..... On jest moim!.... On jest moim! (: wychodzi do drugiego pokoju.)

Scena 4^a

Józef i Artur.

Józef. (: prowadząc pod ramię Artura.) Mistrzu! Dzięki twojej monecie wrota drzewiczego sanctuarium otwierają się, jak seram w bajce Szecherarady..... Co to jednakże znaczy pieniądz. (: gwizda, awję z Roberta Syjatta.)

Artur. Przesłań gwizdać, niedowarona mierzawnico! Treba..... być przyzwoitym w mieszkaniu porządkowej kobiety.

Józef. Wytłomacz mi, mistrzu, jeżeli jest z Wandy

porządna kobieta, to jak objasnić wiryte Edwarda, który był u niej tylko co przed chwilą?

Artur. Mniemasz że młodzieniec, że nie odwraca go ona porządnie..... hej..... Czyż nie jest porządna?... Spójrzaj no na te meble!... Czy można tak miśkać, mając 40 rubli miesięcznie..... co..... czy może nie porządnie tu jest?

Józef. To i nie dziw, że dobijają się o nią, czy wiesz, stojąc na czatach, włazdem na Stefana, ten prosił mnie na sekundanta.....

Artur. Przystajes?

Józef. Łóż by to robić! Oj! Oj! Kochać się tak na progu dwudziestego wieku! A jednak..... ta satysfakcyja wcale mi nie sprawia satysfakcyi..... Do ranaż ino, mój mistrzu, jeżeli w pojedynku uszkodzonym będzie pan konsyljak, posadę moją dyjabli wezmą ze względu na oburzenie jego tescia..... Jeżeli legnie Stefan, posada również będzie wątpliwą, gdyż stracę protektora.

Artur. (ponuro) Protektor będzie!... Tamten zginąć musi..... tak.....

Józef. Kto wie! Różnie na niebie piszą. Wiesz co, świetna myśl mi przyszła! (Pogodzę ich i, co za tem idzie, dostanę poradę od doktora i Stefana, razem dwie.

Artur. Dostyci tych blazekstiw! Ja.... ja stoję się tu czynnym, (gwaltownie) Biada jemu..... biada jej..... biada mnie samemu.

Józef. Przeczywiscie..... największe biada tym..... którzy piją, bo jutro nie mają za co kontynuować dalej tak przyjemnego sportu!

Artur. Mniejsza o pieniądze, niewiele już mam tu do roboty.

Józef. Ze względu na massy butelek konjaku

po handelekach nie przebrałoby się roboty i dla nas obu!

Artur. Jesteś niepoprawny, ale słuchaj! Zaślim powiem sobie: „dostyci tej wegetacyi”, muszę wprzódy ukarać, zmaltretować ją!

Józef. Kogo?

Artur. Kogo?... Metressę mojego szwagra.

Józef. Przekles! lecz czyby nie można tych awantur na jutro odłożyć..... (ziewając) Spać mi się chce!

Artur. Nie rozumiesz ze tego..... że ona swoje powołanie buduje na cudzym nieszczęściu! Będąc już nauczniczką doktora, pozwoliła mu się ożenić, by on się dla niej wzbogacił; teraz gdy widzi, że skarby mu ze wszęch stron płyną, a stawa rosnie z dniem każdym, przyspiesza katastrofę. Wciąga go do siebie, podiega do rozwodu, mimochodem tudząc Stefana..... o..... trzyma go w odwodzie na kardy wypadek. Wiedz, że ona tu jest sprawczynią, nieszczęście. Wina jej większa.

Józef. Phi! Mądra kobieta, mądra..... Gdyby była wolną, ożeniłbym się z nią zaraz. Wiesz co Arturku? Zaśmiast się niepotrzebnie irytować, chodźmy wypić jej zdrowie... Przechodząc, widziałem w tych stronach wcale wdzierający handelek. Wstawim nieco, Arturczku, trzeba wypić jej zdrowie.

Artur. Przystań! Bo ci przy pierwszej sposobności kuflem Teb rozwalę!

Józef. Jesteś niegrzeczny, mój mistrzu!

Artur. (zatrzymując ręce) do siebie) O, moja siostrzo! Moja siostrzo!

Józef. Oj! Słyszę czyjes kroki..... To ona!

Artur. Miler przy niej!

Józef. Jak rybka.

Scena 5^a

Łiz i Wanda.

Artur. (*Wtaniając się, sygnersko.*) Przepraszamy najmocniej: wy zastaliśmy doktora Kruckiego.

Wanda. Nie..... Cóż to za impertynencyja!

Artur. Nie!..... Hm..... to dosyć dziwne moja p. Wando.

Wanda. (*hamując oburzenie.*) Nie ma go tu wcale.

Artur. Osobie takiej, jak pani, grzech nie wierzyć; mimo to musi się pani mijać z prawdą..... pan Stefan, który również dziś był u paniusi wskazał nam tu jego adres.

Józef. (*potakując.*) Był a jakie.

Wanda. Niedziwnik!

Józef. (*m. s.*) Zapewne, wiele tak znowu pieniędzy nie ma.

Artur. Pani..... my orekamy..... cóż to znowu!

Wanda. Racz pan zaniechać dalszej indagacyi; powiedziatam, że go tu nie ma i nie będzie.

Artur. Ho! ho!

Wanda. Czy nie chce pan wyjść?

Artur. Aa..... po co..... po co..... Nam tu bardzo przyjemnie (*siada na kanapie.*)

Wanda. (*z praniem.*) Panie, com panu zawiniła, że depczesz mnie nogami!

Artur. (*z zapałem.*) Słyszysz! Ona pyta się, co zawiniła, to wyborne!

Wanda. Pomocy! pomocy! (*zawoni.*)

Artur. Nie fatyguj się pani..... nie fatyguj! Wyjdę sam, powiem to tylko co mnie sławi. Magdusia w najlepsze gada sobie ze stróżem w bramie. Treosta, nocować nie będziemy.

Wanda. (*Przając.*) Oh! oh! oh!

Józef. (*nachylając się do Artura.*) Zaprzestaj! Jej try są

prawdziwe.

Artur.

Zawaz je otrę, Mam radykalny środek na podobne dolegliwości (do Wandy:) No.... no.... niech się paniusia uspokoi; Po kiego licha płakać, wszystko będzie dobrze. Pan Rucki ma ładne pieniądze..... za swój kumbuc naukowy zbiera też nie mało..... o ile wiem, kroki rozwodowe rozpocznie niebawem i ożeni się z tobą..... styszysz..... ożeni się! Nie jest on taki jeszcze zły człowiek, skoro chce się zmiąć z niemiłosierności!.... A że tam ja..... lub moja siostra stawimy się wstydem i rozpaczą..... to cóż to cię obchodzi..... Klaniam!

Józef.

To byto niedzne!

Artur.

Ale dobitne i jasne. (: wychodzą :)

AKT V

W mieszkaniu doktora.

Scena 1^a

Stenowicz, Dr. Pifski, Dr. Pafski (reszta w głębi)
(wszyscy wychodzą z gabinetu doktora;) i inni słuchacze.

Dr. Pifski. (ścisnąc rękę Stenowiczowi.) To świetne... to znakomite..... brawo, szanowny panie, brawo!

Stenowicz. Wł! (ścierając pot z czoła; do dr. Pifskiego.) Dziękuję, dziękuję.... Zmachadłem się porządnie.... Bo też to sztuka mówić po takim śniadanku, latem i wśród masy natłoczonych słuchaczy.... Dalibóg, atmosfera sali prelekcyjnej warta analizy, ile też naliczyłbym procentów wody, kwasu węglanego, siarkowodoru, amoniaku.....

Dr. Pafski. Spirytualizuj....

Stenowicz. Co pan mówisz?

Dr. Pafski. Mówię, że część audytorjum była pijana.

Stenowicz. (z ekstazą.) Tak.... pijana, odurzona, szczęściem młodszejszego, tryumfem nauki....

Dr. Pafski. (u. st.) Mocnym winem pana Ruckiego.

Stenowicz. Ale gdzież nasz bohater? Przepraszam panów....
(znika w tłumie)

Dr. Pifski. Wyborny kamrat z tego Stenowicza i dzielny rzemieślnik! Czy wiesz, kolego, jak on pracuje na polu przemysłu, techniki, handlu....

Dr. Pafski. W handlu win szczególnie.

Dr. Pifski. Tam wreszcie. Jednakowoż najnowsze jego sprawozdania o stanie tych gatunków we Francji, jego analizy

Dr. Pafski. Grogu i piwa....

Dr. Pifski. To świetne... to znakomite.... Ale dla czego nie tak dopiekasz.... Czy byś ci kiedy w osem przeszkodził?

Dr. Pafski. Czy byś? Zawsze i wszędzie.... jak wszyscy, zresztą, ludzie! Ale nie mówmy o tem. Powiedz mi lepiej, jak ci się powodzi w twoim kojcu, co? Wyglądasz, aż palce lirsi!... Za to pewnie pacjenci, Boże zmiłuj się!

Dr. Pafski. He! he! he! To świetne..... to znakomite! Ukludzi mnie, kolego, ale to nic nie szkodzi..... Wiesz przecie, że nie narodził się jeszcze taki, któryby mógł mnie rozgniewać; pozwól jednakże, iż ja spytam się was wprzód o żonę, syna, praktykę.....

Dr. Pafski. Żona.... Proszę cię, nie mów mi nic o niej, bo mi zełości wątroba spuchnie, jak strusie jajo.... A mój syn znikczemniał do tego stopnia, że aż się żeni z miłości!

Dr. Pafski. To świetne..... (wstrzymując się!) Tak.... a praktyka?

Dr. Pafski. (nachylając się do ucha!) Powiem ci stwaracie, iż gdyby nie przytulki dla ślepych barona Hummel, tobym wkrótce umarł chyba z głodu.... Taką mam praktykę, kolego!

Scena 2^a

Łoź i Dr. Szturmowski

Dr. Szturmowski. Ciesz się, kolego Pafski, zakładamy dom dla idyotów i ciebie chcemy zrobić prezesem.

Dr. Pafski. (z radością!) Naprawdę? (mówiąc po cichu!)

Dr. Pafski. To świetne, to znakomite!

Dr. Szturmowski. Co?... Prucki nie raczył jeszcze?... Tam do dyjabła! Bajania Flenowicza nie chciał mi się słuchać..... (rozgląda się, wstając ze wszystkimi!) Antrakty pewnie przedtury się wokolwiek, mogę przez ten czas zrobić parę wizyt..... (wyjmuje notes!)

Dr. Pafski. (u.s.) Ma 300,000 w gotówce i jeszcze lata.... Stary kutwa!

Dr. Szturmowski. (przeglądając notes!) Łoź tam mi się zostało od onegdaj?... (czyta!) Consilium z pafskim (gd.) Hej, kolego Pafski, co to za morbum będziemy omawiali.... tylko racz, racz mów!

Dr. Pafski. (b. wolno!) Hm!... Indywiduum z silnem strukturą oesophagi, potrochu achozion, głównie zaś diabetes mellitus....

Dr. Szturmowski. Co? Co?... Diabetes.... paszport ad patres!

Tymczasem jarda do wód.....

Dr. Pafski. Ależ ona nie dojedzie.

Dr. Szturmowski. A cóż to kolega chcesz, żeby tu po mojem kon-
syljum kipnięta!... Do Italii, niech ją tam bar-
zarone zaznajomi ze świętym Piotrem.

Dr. Pafski. Kiedyż to ciebie tam nareszcie wpuszczą!

Dr. Szturmowski. (z j. w.) Wizyta u Aleksandryjskiego... jak
go gardło boli, to wola tego mrygto da... nie pojde;
niech mu ten laryngosk^{op} i kieszki naprawie
Rybkiewicz... rubelek porada... tego mogę śmiało
odstąpić Pifskiemu. (gd) Kolego Pifski! (rozmawia
z nim po cichu.)

Dr. Pafski. Oddaje mu pewnie pacyjentą... Także idea-
tłusty potec smarować! On też pewnie zaraz
powie, że to świetne, znakomite....

Dr. Szturmowski. (Ktoemu dr. Pifski mięknie!) Proszę... Proszę
bardzo. (przełada znów notes) Cóż tam jeszcze?...
Skapkowska!... Szelma baba!... Narwała mi w
gorączce chwycirublem... choć w malignie, a
mówi dobrze... Pal ją szesć! Hr. Sznyelowski...
znów się objadł! Muszę tam lecieć... Cokolwiek
się u niego przetrząci, to wcale nawet będzie na
czanie... (spogląda na zegarek.) Potudnie! Na koniec
dysertacyi i tak zdaje... A propos, co sądzicie
o niej panowie?

Dr. Pafski. Ja bardzo mało wiem o tem sławnim dziele,
ale kolega pono być proszony na wczorajszą poufną
gawędę, która, jak mówią, bardzo (śmiejąc się ironicznie)
sła słabo.

Dr. Szturmowski. Tak, bytem... To nie bagatelna rzecz!
Ten chłopiec ma spryt... może zrobić pieniądze....

Dr. Pafski. No... no... przyznaję otwarcie, nie wierzę w
niego to-błaga, najlepszem dowodem, że wynalazek
ten nie budzi zaufania jest to że i uniwersytet i
murcum odmówiło poparcia i lokalu. Jesteśmy

tutaj w prywatnym można powiedzieć, kółku w salonach Kruckiego, który prócz z greczności przybyłych kolegów, ścigał kilku przekupionych reporterów i jakiegoś tam zagranicznego blagiera. Zresztą, nie a nie nie pojmuję owego sztucznego życia i rekomych talentów kolegi Kruckiego, którym tak pachnie atmosfera tych murów; nie mogę sobie wystawić, na co mi się przyda to wszystko.....

Dr. Szturmowski. Tak.... tak.... co niemowle po telefonie?

Dr. Piński. To świetne!.... hm.... (zagadywając) a.... a jakże jest podstawa wynalazku, mocno ciekaw.

Dr. Szturmowski. Osnowa..... popęd..... praca, ^{jak zawon} comme toujours...
cherchez la femme.....

Dr. Piński. Co? (kilka osób odstępuje dr. Szturmowskiego.)

Dr. Szturmowski. Słuchajcież..... Istnieje kobieta, bogata, jak Kalifornia; niedostępna, jak Gibraltar; piękna, jak brzegi Amazonki.....

Jeden z panów. Psz!..... Professor idzie! Professor!

Dr. Szturmowski. Zatem później dokonasz..... zresztą i tak wątroba mabiego nie daje mi mówić?....
Adieu! Adieu! (wybiega.)

Dr. Piński. Do widzenia. Szkoda, nie wiem.

Scena 3^{ia}

Liz i Prof. Kramer.

Kramer. (wchodząc) Nasza metoda stawia kare czekać na siebie.

Stenowicz. W tej chwili gotowi będziemy. Ustawiają w łasnie attraction dnia dzisiejszego w dwudziestu stadyjach rozwoju..... (zgrupuje się kółko, które żywo rozmawia.)

Dr. Piński (do dr. Pińskiego) Uwierzasz, jak Stenowicz wrepia się Kruckiego..... o, swój swego w korcu maku odrzuka! Z podobnym, jak Krucki chyba tylko tacy Stenowicze mogą żyć na przyjarnej stopie.

Dr. Piński. To świetne. A czy możesz mieć przeciw Kruckiemu?

Dr. Pański. Co? Bagatela!

Wsyny. Pst! Pst! Professor mówi!

Dr. Kramer. Nie należy, panowie, zbyt nie porywczo osądzać rzeczy; racjonalne kryterium wyrabia się wtedy dopiero, gdy nieprzeparta moc logicznych przynajmniej i szczerą chęć docieżenia prawdy kieruje naszymi poglądami. Badania, z owocem których zaznajomi nas za chwilę, kolega Krucki..... (poprawiając się) pan Krucki, otwiera szeroką arenę, gdzie scierać się mogą swobodnie zdania stron przeciwnych, jak prądy różniamiennych biegunów. Tymczasem wykaże, czy dane konkretne, z jakimi nowymi adeptami do rzędu niesmiertelnych staje obecnie przed nami, wyszora nam szczerą poklask ucznionego świata, czyli też panów policzonych w ostatnie w poczet tych, blamujących wiedzę osobników, na których realna doktryna z usmiechem politowania spogląda.

Dr. Pański. Politowania - to prawda! Bo, pomijając już nawet wysoki sceptycyzm, jaki we mnie obudza to dzieło; po co, pytam się, tworzyć, w ten sposób, nowych sztucznych ludzi, skoro prawdziwych mamy dosyć, ba..... nawet zanadto! Jeżeli pan Krucki otrzymał już dzisiaj żywą komórkę, to za lat kilkanaście inny jaki badacz przygotuje kawałek żywej tkanki, a dalej i dalej, jak dobre pójdzie, to w laboratorjach uniwersyteckich więcej się będzie fabrykować ludzi, niżeli rodzić się ich na świecie..... Coż stąd? Dziś jest nam za ciasno i za ciężko, gdy zaś preludium jeszcze większe nastąpi, z pewnością nie będzie nam lepiej!

Dr. Kramer. Noż panie, nie mówmy o tem; wkrawasz pan w dziedzinę ekonomiji, podrasz go wiedza, jako wiedza, względami praktyczności kierować

się nie może. My cenimy erudycję, polot geniuszu, twórczość, tryumf ^{nauki; mi Baccagc natłokę; progresy między ludziami, co} zysków materialnych szukają, podobają się, lub nie. Wychodząc z tego zasadniczego punktu widzenia, prace p. Ruckiego, jeżeli się okażą podjęte mi i przeprowadzonymi racjonalnie, jeżeli są oparte na fundamencie praw przyrody, postawimy wyżej nad marne zarzuty, z niskich pobudek pochodzące; jeżeli zaś, jak wyżej powiedziałem, osnowy głębszej nie mają, wynalazek ów zaliczymy do rzędu takich, jak orzy szklanne, watę sosnową, siejbowłos. i inne tym podobne sztuczki szarlatanów.....

(wchodzi do audytorjum; ogólna weselość.)

Tlenowicz. Śmiejcie się.... tak śmiejcie się jeszcze bardziej, jeszcze głośniej! (wchodzi Edward.) Nie wiecie, panowie, rezultatu, a już gotowicie szydzić..... Zarówno, zarówno przez was przemawia! Skoryjcie do śmiechu, gdyż nie waszym będzie udziałem stawa, jaka za chwilę oprómieni woto geniuszu; szydzi professor, gdyż nie zostało mu oddaniem owo dzieło do poprawki..... (spoglądając w koniec sali) śmieją się i tam na całej garście.... to korespondencji pism zagranicznych..... Nie w smak im smać poszło, iż Rucki nie szukał u nich wprzód, we Francji, lub w Anglii patentu na wielkość; że nie podzielił się za ów patent swoim swęj pracy z ich Daniell'ami, Rarnwier'ami lub Chevreuill'ami..... Tak, warz potępienia! A ja wam powiadam, szykujcie wieniec i oklaski, jeżeli zarzutu matodusznej zawisci ściągnąć na siebie nie chcecie..... (mówi dalej, jakby do siebie, w uniesieniu.) Zresztą, może to i prawda, iż nie dla was to nowe życie, którem on ludzkość obdary; może ci, którzy techniem jego twórczości do bytu powołani zostaną, staną się przy was olbrzymami, wy przy nich karłami tylko.

Wszyscy. Brawo! Brawo! Kolega w ekstazie!

Scena 4^a
Liż i Edward.

Edward. (unikając miernocnie i poś Tlenowicza:) Dziękuję ci, przyjacielu

Dr. Pafski. (do dr. Pifskiego:) Cóż teraz myślisz, kolego, o fantazji ludzkiej, jakiej Tlenowicz dał nam próbki? Ładne mrzonki, faramuszkę, zabaweczki.....

Edward. (do dr. Pafskiego:) W fabryce mego teścia wakuje posada lekarza, gdyby.....

Dr. Pafski. (zapatorywie:) To ja..... to ja mogę objąć.....

Edward. Mam kolegi słowo.

Dr. Pafski. Masz, masz, Kolumbie nowy, pozwól, że w tej chwili, tak świetnej dla ciebie, scisnę ci dłoń z uwielbieniem dla twego talentu, twjej pracy, twjej..... (słychać dzwonek:)

Edward. Dziękuję po tysiącach za takie szczere życzenia i zarazem..... (zwracając się do wszystkich:) proszę panów..... zaraz rozporządzam..... (wszyscy tłoczą się ku wyjściu)

Tlenowicz. Posłała ta niedźwiedź zagraja ze swoim augurem!

Edward. No, no.... więcej pobłażania, Tygumencie. Nie trzeba brać rzeczy tak gorąco do serca. Ci biedacy zaszkodzić mi nie mogą.

Tlenowicz. Masz sturwnić..... Limnej krwi rawsze miałem za mało! Podziwiam twój!... W takiej chwili tak panować nad sobą bym nie mógł..... Nie ja przecie rozporzącać mam akcyję, a myśli kłębą mi się i wirują. Do widzenia, wśród oklasków! (wychodzi.)

Edward. Mam więc stanąć przed nimi! (z wybuchem uniesienia, sługo hamowanego:) Złoczyli się, na koniec moje marzenia, spełniły moje nadzieje..... Czym spodziewałem się kiedy, czym przypuszciałem nawet na chwilę, gdy, jęzure będąc chłopięciem w zimnej izbie nad elementa-

rzem 'sleczad, syn nędzara kaleki, iż z czasem zdolam
 wyrwać się z objęć ciemnoty, że dotrę do progu świątyni
 sławy, że na mnie zwróca swe oczy świeczniki wro-
 nego grona!... O, mój ojrze, czemu nie jesteś dziś
 przy mnie, dla czego nie jesteś świadkiem tryumfu
 twego syna! Ach, ciebie widząc przed sobą, z rozkoszą
 ścisnąjąc dłoń tej, co była i jest dla mnie aniołem
 opiekuńczym, moją gwiazdą przewodnią, przyswie-
 cającą mi na drodze pracy i czynu, negój więcej
 brakowałoby mi do szczęścia? Ty nie żyjesz, lecz
 żyje ona..... zdaje się, iż los sam w nagrodę
 mej przeszłości wyda mi przyszłość błogą i
 jasną! Od tej chwili dnie lepsze zaczęły się
 u mnie! Ambicja moja jest zadowolona,
 praca pomysłnym wieńcem się skutkiem,
 analazem miłość i przyjaźń prawdziwą,
 taćzę swe losy z tą, co technikiem jest życia
 mojego, a uwieczniony laurem i rany moralne
 stodyczą uczucia bóstwa mego ukoiwszy, nauczę
 się pogodniej na świat i przyszłość spoglądać;
 czystość sumienia odzyskam, gdyż ona nauczy
 mnie, rzem czystość tę okupić. Tak... czuję
 się szczęśliwym, jak nigdy! Idźmy śmiało, z
 wypogodzonym czołem do boju, do zwycięstwa....
 przyszłość do mnie należy: za chwilę mury tego
 budynku wstrząsną się w swych posadach od
 hymnów entuzjarmu; za chwilę innię moje
 przeniknie aż do najodleglejszych krańców
 ziemskiego globu; za chwilę redaków swoich
 okryję wieczną i nieśmiertelną chwalebą!
 A gdy świat ze zdumieniem spoglądać
 na mnie będzie, ja u boku tej, co dróższ,
 mi jest nad wszystko, postaram się za-
 pomnieć o dawnych, minionych czasach,
 by tem pełniejszą pierśią terażniejszścią

B. Anonog moie byc' zupełnie gwarstony

oddychać... [Napróżd więc!... Idźmy! (chce wejść do audytorjum; na drodze spotyka Wandę, bladą, ciemno ubraną)

Scena 5^a

Edward i Wanda.

Edward. (cofając się w tył.) Ha!

Wanda. To ja, Edwardzie....

Edward. Ty..... tutaj?

Wanda. (słabym głosem.) Przyjmij wraz z innymi i odemnie cześć i uwielbienie..... (śiska go za rękę.)

Edward. Wando.....

Wanda. Czemuż tak patrysz się na mnie? (widać mu się na szyję.) O, mój najdroższy, przyciśnij mnie do serca! (całuje go namiętnie w usta i rawiesza mu się na szyję.)

Edward. (wyrzuwając się.) Skąd to.....

Wanda. Nie odpychaj mnie, luby, bóstwo moje! (całuje go w rękę.) nie..... (nagle z krzykiem) Ach!.... pali mnie!.... Już się raczyna..... (wypuszcza i objęć Edwarda, i chwytając, opiera się o fotel.)

Edward. Wando! Wando! Co z tobą, się stało?

Wanda. (padając na krzesło i wijąc się w bolesniach.) Tu..... tu.....

Edward. (z przerażeniem.) Coś uczyniła!

Wanda. (oddychając swobodniej.) Już przeszło! (usiłuje podnieść się z krzesła; jedno ręce i z starika wyprada jej fłaszeczka, którą Edward podnosi.)

Edward. Nieszczęśliwa!

Wanda. Nie obwiniaj mnie, proszę..... Gdybyś był wiedział, com przemieść musiała wczoraj po twym odejściu!.... o!.... och! (ranośi się spazmatycznym płacem.)

Edward. Jak dawno przyjęłaś truciznę! (Wanda milczy.) Złituj się nademną! Nie bądź moim katem!.... Mów! (wstrząsa się.) Wando! Coś wypita!

Wanda. (stęsknym głosem) Miałam dosyć czasu..... Teraz na-
próżno..... (wypreżając się na krześle) Ock, szarpie
mnie znówu!.....

Edward. (padając na kolana) Słuchaj mnie..... Ty!..... Boże
Wielki! Ty jesteś..... istniejesz!..... Słyszysz, ja
wierzę w Twoją Potęgę!..... Tyś Pan!..... a ja proch
tylko..... Łaski! Łaski dla niej i dla mnie!

Wanda. Odwagi!..... Nie dolega mi już nic..... Nie trzeba
rozpaczać! Ja nie kochałam cię wcale.....

Edward. (Kłamiesz!..... Jesteś nikczemną!..... Forturu-
jesz mnie!

Wanda. (: zakrywając twarz rękoma) Ach!

Edward. Żyj!..... Ty musisz żyć..... (chwytając ją wpięt i biegnie
ku audytorjum) Ratuszku!

Wanda. (szamocąc się) Prętań!..... Ja gardzę życiem
i..... tobą!

Edward. O biada! Biada mi!

Wanda. (padając na kolana) Już zapóźno!

Edward. (patrząc na nią z osłupieniem) Zapóźno!

Wanda. (: p. c.) Edwardzie, skłamałam..... Lecz nad-
mitość istnieje, rzeczy świętsze..... Szczęśli-
wym ten tylko być może, kto jest nim
bez niczyjej krzywdy..... (: p. c.) Nas wiele, wiele
rozdzielało, choć kiedyś mogliśmy powiedzieć
inaczej..... Niestety, w twym sercu ambicja
walczyła z miłością, i pierwsza drugą prze-
mogła! Lecz nie oprze ci wyrzutów: tyś
męzczyzna..... wasz świat inny..... i nasz
inny..... Ludożitom się, iż uda ci się zdobyć
jedno i drugie; przekonanałam się wczoraj,
iż jest to niemożliwem..... (: Edward robi
ruch pytający) Znajdziesz u mnie w pokoju
wyjaśnienie wszystkiego..... teraz nie pytaj!.....
(dłuższa chwila milczenia) Ty mnie nie zapom-
nisz, wszak prawda? Odwiedzisz niekiedy,

mój grób? Przychodzi tam..... pamiętaj..... ja też
będę przy tobie..... choć nie widzialna, choć duchem
tylko..... Śmiertelnym snem ujęta, wśród ciszy
grobu, rozmyślać będę o tobie, przypominając
sobie będę twoje słowa, niegdyś wyrzucane do
mnie: ileż to w nich było uczucia, ile zapo-
wiedzi szczęśliwej przyszłości..... Tęskniąc będę
swoje sny wroczę, tak marnie w niwecz obro-
cone, a gdy wieko trumny zanadto pierś ma,
stargana, przygniecie, gdy zimna mogiła
przerazi mnie swą pustką, a lekkim
wietrzyka powiewem wśród spokojniejszej i ci-
szej nocy pomknę do ciebie, luby mój.....
Skielony nad pracą..... samotny..... może
doswiadczysz chwil rozrównienia; może,
powiodłszy okiem po pustych komnatach,
uczujesz i ty brak kogoś..... brak serca..... brak
drogiej istoty..... Bądź pewien, że w tej chwili
nie będziesz sam jeden, że tuż przy tobie znaj-
duje się ta, co jedna ocenia cię należycie.....
(p. c.) Pięknij moja mogiła; zasadź na
niej kwiatki..... Wszak kardy z nich wstawkę
mnie całej nawierać będzie; pięknij je i
hoduj..... i proszę, najdroższy mój..... panie
mój, przycisnij je często do serca..... Będzie
to uścisk, w dreszczem rozkoszy mnie
prejnie, a na hańbę i cudo przekleń-
stwo nie wystawi! Przyrzekasz..... ciemno
mi w oczach..... Edwardzie!..... gdzie twoja
ręka..... ach!..... (kona; Edward kłeka i ratuje jej
reze; następnie wstaje i, oparty się o filar, patrzy
na zmarłą nieruchomie.)

Scena 6^a
Wszyscy.

Stenowicz. (wpadając) Edwardzie! Co ty robisz..... tam skandal gotowy! (spostregając nagle trupa) Co..... Kobieta!..... tu!..... Co to..... co! (zatrzymuje się w osłupieniu.)

Dr. Kramer. (za nim tłum) Panie Krucki, to kpiny!

Stenowicz. Spojrzyj się, profesore.

Wszyscy. (z przerażeniem) Morderstwo!

Stenowicz. (u.s.) To ona!

Dr. Kramer. (do Edwarda) Co to wszystko ma znaczyć?

Wszyscy. Co to jest? Toś pan zabił tę kobietę!

Dr. Szturmowski. Chwytać go! (niektórzy przystępują do Edwarda.)

Dr. Pifski. Za pozwoleniem..... Zdaje się, iż trochę pilniejszym jest ratować ją..... (nachyla się) Patrzcie..... (pokazuje flaneurkę.)

Dr. Pafski. Cyjanek potasu..... Otrula się!

Dr. Pifski. Serce nie bije..... o..... jest tu jakaś kartka..... (po przeczytaniu) Ah, panowie, nie nam się mieszać w tę sprawę.....

Dr. Kramer. Łóż tam jest?

Stenowicz. (wyta) „Nie podejrzewajcie nikogo! W pełni wiedzy i z woli własnej zstępuję do grobu..... W mieszkaniu znajdziecie listy”

Wszyscy. Nieszczęśliwa.

Dr. Kramer. Szkoda biedaczki!

Dr. Pafski. Co za klasyczne rysy!

Dr. Kramer. (do Edwarda, wskazując go za rękę) Kolego.....

Edward. Z woli własnej! (z wybuchem) Gdybyż to mogło być prawdą!... Gdybym ja mógł powie- dzieć tak samo..... (z rozpaczą) O, wróćcie się moje noce ricke; o, wróćcie się moje nadzieje! (ruka się na ciato W. i catuje go)

Dr. Kramer. Nieszczęśliwy! (chwyta go za rękę ze współczuciem) Kolego, trzeba zmieść mężnie ten bolesny cios! (E. ta) Opermistrzaj się!

Edward. (próbując, padając przez chwilę na obciążonych osłupiałym wzrokiem) Masz stusność, profesore. (z determinacją) Nie tracimy chwili! Do dzie-

ta! Ona remallata, pomatu przyjorie do przytomności! Przez ten czas ja przedstawię wam teorię rozwoju skuranej komórki ludzkiej. Nie tylko teorii... poważ, wam serce doświadczeń... o... poważ, wam racjonalne doświadczenia... Ona się obudzi! (ustawa umiaty na stole, muzyka. Część gości wychodzi z mieszkania E.)

Henowick. Przyjacielu, pozwól, że odprowadzę cię do sypialni.... Jesteś chory, od-
cugt odłożymy na później.

Edward. (zawstydzenie) Ależ nie! Przeważ, że chwile rozczynam. Chętnie, panowie, nie
zapnujcie swoich miejsc? Późniejsie lat exekatem na tę chwilę i ty
chcesz, żebyś odstąpił. Nie wiem nawet, dlaczego?

Dr. Pufosi. Obłąkany! (wychodzi, za nim inni)

Edward. Panowie, rozczynam... (patrzy w sobie tylko p. Kramera i Henowick) Co!
Pozwoli! Nie chcę, mnie słuchać... mnie? I dla czego, pytam się, dla
czego? (biegnie ku drzwiom) Słuchajcie!... Ja też chcę!

Dr. Kramer. Teraz nie pora! Odwróć, odwróć, mój chłopce! (do łóżka) Połóż
pana.

Edward. Ty wychodzisz? Ostatni!

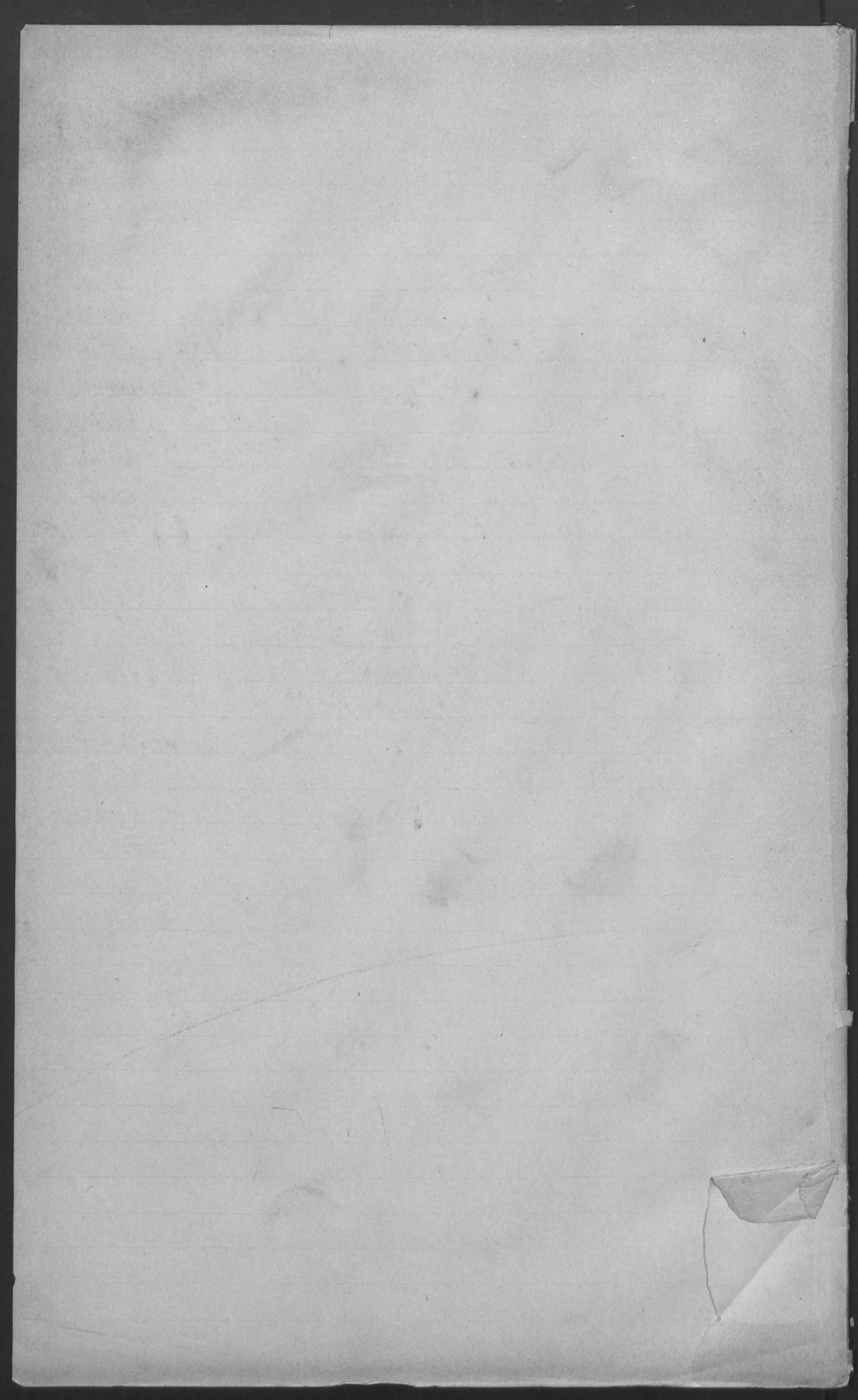
Dr. Kramer. Kolego, nie mogę.

Edward. Słuchaj, ostatni! Ja chcę ci pokazać owoc mojej piętnastoletniej pracy!
dzieło moich rąk i mego geniuszu! Dla tego wynalazku poświęciłem
wzrostko! Słuchaj mnie... mówisz prawdę... Dla wynalazku rozca-
dram ręk, dla wynalazku kamienatem swoje sumienie na głos spra-
wedliwości i emoty... każda stawa zrobiła mnie cynikiem, egoistą,
każda okłasków i uniesień z waszej strony pomsła mnie na drogę
intryg i zdrady, dla wynalazku poświęciłem kobiecie, która dla mnie
życia poświęciła i dziś, gdy wreszcie stanął u mego - wy nie
chcecie mnie wysłuchać, nie chcecie wrnąć pracy, skupionej łzami,
przekleństwami, moją krew, krwi! (szamocąc się z Kramem)
Tys jeden porobak, tys jest dobry, ty mnie nagradzisz za nich!
Nie domyślasz się, jak moji dzieło jest wielkie! Chętnie, poważ, ci
preparat z ostatniego badania rozwoju komórki... Chętnie chętnie!
(biegnie, pokrywa się o trup W. i, wydany serce, rzuca się na W. i głośno
ptać).

Kurtyna zapada.



Warszawa 18 21/12 91r.





Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.

Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.

All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.